13,000 abonentów!

Nr 11. Poznań, dnia 15 marca 1903. Rok VI



Jacy jesteśmy.

I.

Pod tytułem: „Współczesne prądy umysłowe i polityczne‟ napisał p. Ludwik Kulczycki szereg rozprawek, w których omawia kierunki naukowe, społeczne i polityczne, jakie nurtują społeczeństwo polskie w ostatnich czasach. Jest tam mowa o pozytywizmie, o współczesnym ruchu etycznym, o patryotyzmie w przeciwstawieniu do nacyonalizmu, omawia wreszcie autor w sposób krytyczny demokratyzm, antysemityzm i egoizm narodowy.

Szersze zainteresowanie zdolna jest obudzić rozprawka, zatytułowana: „Jacy jesteśmy,‟ gdyż mowa tutaj o *narodowym charakterze Polaków.* Podnietę do zastanowienia się nad tą sprawą dały autorowi idee Szczepanowskiego i prof. Lutosławskiego, które omawia w osobnych artykułach. — Szczepanowski i Lutosławski są idealistami, wychodzącymi z założenia, że pewnych prawd dowodzić nie potrzeba, gdyż są one oczywiste dla ludzi zdrowych. Dlatego też, idealizując charakter narodowy Polaków, twierdzą wprawdzie, że jesteśmy doskonalsi od przedstawicieli innych narodowości, ale dowodów na to nie przytaczają. Że takie gołosłowne twierdzenia nie posiadają wartości, na to zgodzić się z autorem trzeba. Ale, jak zwykle bywa, zwalczając zbyt optymistyczne poglądy przeciwników, wpada autor sam w drugą ostateczność i maluje charakter narodowy Polaków w zbyt czarnych barwach.

Zanim jednak rozprawimy się z autorem co do treści, musimy pomówić kilka słów o metodzie, jaką zaleca w celu poznania charakterystyki narodowej.

P. Kulczycki twierdzi, że należy w tym celu podejmować „zmudne studya porównawcze, historyczne‟ i t. p., że trzeba porównywać instytucye polskie z zagranicznemi, zgłębić statystykę kryminalną i t. p. Jest to pojmowanie zadania zbyt materyalne; wśród suchych cyfr będziemy napróżno szukali charakteru narodowego, skoro zbraknie nam najważniejszej rzeczy, o której autor nie wspomina, t. j. zmysłu spostrzegawczego. Jeżeli o przygotowanie chodzi, uważałbym za ważniejsze od wertowania statystyki studya psychologiczne, badanie duszy człowieka, przez którą prowadzi droga do duszy narodu. Należy nauczyć się patrzeć w siebie, trzeba brać udział w przejawach życia narodowego i obserwować innych. — Gdyby autor postępował był tą drogą, doszedł by był może do odmiennych wyników, a charakter narodowy polski, w tak ponurych cieniach przez niego przedstawiony, nabrałby może był i trochę jaśniejszych promieni. — Ale przejdźmy do charakterystyki.

Polaków cechuje według autora *brak zamiłowania do pracy umysłowej*, przejawiający się w ubóstwie naszej nauki i w zbyt szczupłej liczbie czytelników dzieł poważniejszych, dalej *brak temperamentów silnych*, słabość popędów i pragnień, skąpstwo w szafowaniu na cele narodowe, powierzchowność, przejawiająca się w tem, że wielkie prądy dziejowe, jak reformacya, rewolucya, walki w łonie miast, nie wstrząsały nami do głębi. Jesteśmy *zdemoralizowani niewolą*, cofamy się przed walką o zdobycze realne i zamykamy się w kontemplacyi o minionej potędze i mniemanej naszej wyższości.

W przeciwstawieniu do tych licznych wad autor mało znajduje zalet w charakterze polskim. Przyznaje nam wrażliwość, szybkie przejmowanie wszelkich prądów umysłowych, tak literackich, jak społeczno-politycznych i łagodność, wyradzającą się jednak niestety zbyt łatwo w ślamazarność. Autor zwalcza poglądy o idealności Polaków, jaką przypisują im Szczepanowski i Lutosławski, innych zaś zalet nie widzi.

Przedstawienie narodowego charakteru Polaków należy bez wątpienia do zadań nie łatwych, najpierw dlatego, że skala właściwości narodowych jest w istocie bardzo rozległa, a potem dlatego, (autor, zdaje się, zapomniał o tem) że rozwój naszego narodu był nieprawidłowym i wyjątkowym. Z wykolejenia dziejowego, jakiemu ulegliśmy, zdaje się wypływać niejedna pozorna sprzeczność.

Brak hartu? — oczywiście, jeżeli rozpatrzymy się po dzisiejszem spo-

łeczeństwie polskiem, mało znajdziemy ludzi o niezłomnych duszach; jakaś chwiejna miękkość zdaje się należeć do zasadniczych cech naszego charakteru, i nie tylko w życiu, nawet w literaturze w postaciach bohaterów przebija się owa właściwość. Wallenrod, którego Mickiewicz odmalował, jako ducha zemsty i zdrady, z najwyższym wysiłkiem utrzymuje się na owym poziomie. Jaki wstręt, jakie znużenie przebija się w jego sławnym wykrzyku: „Już dosyć zemsty, i Niemcy są ludzie!“

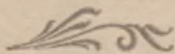
Ale kto umie rozpatrywać się w przyszłości narodu, ujrzy tam postacie, jak ze stali wykute, niezłomne. Jak granitowe posągi sterczą z zawieruchy dziejów naszych: Chodkiewicz, Żółkiewski, Czarniecki, owi nieugięci wodzowie, zwyciężający ze szczupłą garstką rycerstwa dziesięćkroć liczniejsze hufce nieprzyjaciół, a trzymający żelazną ręką karność wśród swoich. Żołnierz Czarnieckiego, łamiący karność, włóczony był, jak pisze Pasek, u nóg końskich po majdanie, aż ciało odpadało od kości; a przecież ów żołnierz, to nie prosty ciura obozowy, ale brat szlachcic „równy wojewodzie.“ — Któż może, patrząc na te obrazy przeszłości, odmawiać hartu duchowi polskiemu!

Ale i w późniejszych czasach, kiedy już naród chylił się do upadku, a nawet w czasach porozbiorowych znajdowali się pośród nas ludzie o charakterze niezłomnym, jak *Rejtan*, każący deptać po obnażonej piersi tym, którzy chcieli przyzwolić na podział Ojczyzny, albo innym duchem owiany, margrabia *Wielopolski*, usiłujący przeprowadzić ugodę z Rosyą wbrew woli narodu.

Dzisiaj, kiedy *stuletnia niewola* zrobiła swoje, jest oczywiście inaczej. Przeprowadzono wiekową tresurę ducha narodowego; owi hardzi i nieugięci zasłali pola Maciejowic, Grochowa, Ostrołęki, lasów Świętokrzyskich, zaludnili Sybir, więzienia rosyjskie, pruskie i austryackie. Ci co pozostali, nauczyli się uginać głowy przed koniecznością dziejową — są i tacy, co nauczyli się pełzać przed wrogiem.

Prawdą jest, że nie mieliśmy nigdy w sobie właściwości zaborczych. Na mocy pokojowej unii z Litwą rozprzestrzeniliśmy panowanie polskie na północny wschód i przygotowaliśmy się do walki z „wiecznie głodnym“ wrogiem krzyżackim. Zagarnęliśmy wprawdzie Ruś Czerwoną, ale najpierw był to, dziejową koniecznością dyktowany odwet za utratę Pomorza, a potem Ruś nie była jeszcze narodem. — Nie ma zapewne w dziejach świata drugiego przykładu, by naród, jak szlachta polska, żądał od królów swoich gwarancyi, że wojen zaczepnych prowadzić nie będą.

Niemir.



„Żebraczy naród.”

Zamieszczony przez nas w przeszłym numerze list niejakiego Krahmera z Berlina do pewnego Polaka w Warszawie daje nam pojęcie, jak nizko już upadły pojęcia etyczne i estetyczne pewnej części społeczeństwa niemieckiego. Nie jest to zaś bynajmniej dowód odosobniony, jednostkowy; laurów brutalnego ulicznika pozazdrościł wnet berlińskiemu „Nadniemcowi“ jeden z rodaków jego, przebywający w Gatczynie pod Petersburgiem, niejaki *Hoffmann.* Wystósował on do znanego dziennika petersburskiego „Nowoje Wremia“ list, w którym tłomaczy Rosyanom, iż nie powinni brać w obronę lub opiekę Polaków wobec Niemców, lecz gnębić ich tak samo, jak to czynią Niemcy. Rosya — pisze Hoffmann, tyle przecie zawdzięcza Niemcom, tak jest od nich zależną pod względem materyalnym i duchowym, że bez nich wogóle byłaby niczem i niedałaby sobie rady w koncercie narodów cywilizowanych. Niech więc nie bawi się w sentymentalną życzliwość dla Polaków — tego *narodu żebraczego,* lecz niech dalej wysługuje się *Niemcom.*

List to podobno zupełnie autentyczny, tak przynajmniej zaręcza organ petersburski. Gdyby nie to zaręczenie, trudnoby było uwierzyć w jego prawdziwość. Sądząc bowiem po ludzku, trudno przypuścić, iżby Niemiec, żyjący w Rosyi, na ziemi rosyjskiej, chlebem rosyjskim, laską rosyjską — mógł się zdobyć na bezczelność napisania takich uwag pod adresem Rosyan. Świadczy to w każdym razie, że bezczelność Niemców wobec Słowian nie zna już granic ni miary. Obszerniej tym płodem *nadniemieckiego* łajdactwa zajmować się nie będziemy, gdyż wyświadczylibyśmy przez to zbyt wielki zaszczyt takiemu Hoffmannowi i jego braciom po duchu. Wiemy zresztą z doświadczenia, że jest ich już bardzo dużo. Niechże się z nimi rozprawią Rosyanie sami, gdyż list ów jest większą niemal obelgą dla nich niż dla nas Polaków. My tylko zwrócimy uwagę na jedno wyrażenie w liście, a mianowicie na nazwanie Polaków *narodem żebraczym.* Jest ono upokarzającem dla nas, chociaż z takich ust łajdackich wyszło — bo — niestety *nie jest pozbawione pewnej racyi.*

Niemcy wprawdzie nie mają prawa zarzucać nam żebractwa, bo sami na *żebractwie* utyli i dorobili się wielkości i znaczenia. Szczególnie zaś uprawiali je wobec nas. Żebrali od nas i u nas chleba, ziemi, pomocy, złota, aby potem kąsać nas za to i szarpać. Na taczkach przywozili do nas swe rodziny i piernaty, żebrząc gościny, pracy i przytułku. Gdyby nie wyżebrana na kolanach pomoc nasza, podczas najazdu Turków na *Wiedeń,* byliby może i dziś jeszcze pachołkami Turków. Żebrakom takim *wara więc zarzucać żebractwo innym, mianowicie dobrodziejom swoim....*

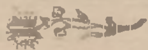
A jednak jak już zaznaczyliśmy zarzut to nie bez racyi. Przypatrzmy się tylko, co się u nas dzieje. Czyż i my *dziś nie żebrzymy łaski i jałmużny u Niemców?* Niektórzy posłowie nasi wycierają kąty u ministrów najbardziej nam wrogich, baraszkują z nimi publicznie w sejmie lub parlamencie, gdy z ust tych ministrów padają gwałtowne i pogardliwe słowa pod naszym adresem. Kupcy i przemysłowcy nasi oraz członkowie tak zw. inteligencyi *iluminują swe okna podczas uroczystości niemieckich, biorą udział w festynach i bankietach niemieckich, chociaż na nich padają pogardliwe słowa o Polakach. A czynią to jedynie w celu wyżebrania od Niemców kilku groszy za wyroby i towary, trochę tylko poparcia z łaski.* Włościanie nasi często żebrzą o trochę „pobłażania“ dla siebie, wybierając wój*tów niemieckich.* Inni znów — pewni panowie, asystują pogrzebom Niemców, którzy za życia byli nieprzejednanymi wrogami naszymi. Świeżo znów, jak donosi *„Dziennik Pozn.“ — część arystokracyi* naszej stanęła w hotelu *Myliusa,* chociaż tam *nie wolno — mówić po polsku.* Część rodziców posyła swe dzieci do klasztornych szkół niemieckich, chociaż tam hakatyst*k*i w habicie bezczeszczą przeszłość naszą. Nie brak-nie i takich, którzy żebrzą u Niemców *godności, zaszczytów, szlachectwa....*

Zaprawdę, dopóki tak postępować będziemy, nie możemy się oburzać, że łajdackie indywidua *nadniemieckie* nazywać nas będą *narodem żebraczym....*

Opamiętajmy się raz przecie! Strzeżmy godności naszej! Tylko naród tę godność własną szanujący ostać się może w walce z przemocą. To największy nasz skarb. Przecież i materyalnie obyć się możemy bez *łaski wroga.* Przestańmy więc żebrać! Niech zwłaszcza te koła, które mieszkały niedawno u *Myliusa,* wezmą sobie do ser-

ca ten zarzut *żebractwa.* Niech się uderzą w piersi, niech bronią godności narodu tak, jak by bronili czci *własnej.*

Przestańmy być żebrakami — a wówczas z pogardą będziemy mogli *splunąć* na te wybryki łajdactwa *Nad germanów.* *Ordon.*



Nad grobem wielkiego męża.

(Kilka uwag na czasie z powodu zgonu ś. p. Riegera.)

I.

W sobotę dnia 7 bm. pochowano w Pradze czeskiej męża, któremu równego nie znajdziemy w całej Słowiańszczyźnie. A przecież wielkich mężów nie brakło w żadnym narodzie słowiańskim.

Żadnego jednakże nie można porównać z nim, z *Franciszkiem Władysł. Riegerem.* Jemu to pobratymczy nam naród czeski zawdzięcza niemal wszystko, co ma dzisiaj. Był to w całem tego słowa znaczeniu przywódzca narodowy. Własnemi dłońmi urabiał on ducha rodaków swoich, wyznaczał im drogi do coraz potężniejszego rozwoju. Naród czeski rósł pod jego rękami, rósł i wzmagał się na siłach, aż wreszcie stał się tak ważnym czynnikiem w Austryi i w Europie, jakim jest dzisiaj. Na całym wogóle świecie nie wielu tylko mężom danem było wywrzeć tak wytyczny i decydujący wpływ na ukształtowanie się ducha narodowego swego ludu — jak właśnie zmarłemu Riegerowi.

Pod tym względem najbardziej do niego zbliżeni są nasz *Kościuszko* i nasz *Mickiewicz.* Pierwszy atoli był wodzem wojennym, drugi poetą. Każdy z nich w jednym tylko kierunku wpływał na losy swego narodu. W ręku Riegera natomiast spoczywał *całokształt* tych losów. Środkiem twórczym Riegera nie była szabla ani lutnia, lecz była dziedzina, najbardziej obca wszystkim jeszcze narodom słowiańskim — była *polityka.* Z tej to przyczyny twierdzić możemy śmiało, że nie miał on równego sobie w Słowiańszczyźnie. Polityka tej miary bowiem żaden jeszcze naród słowiański nie wydał.

Ponieważ zaś dzisiaj, my zwłaszcza *Polacy* — straciwszy wszelką możliwość odzyskania tego, cośmy stracili, siłą broni, skazani jesteśmy w tym kierunku wyłącznie na środki i sposoby *polityczne,* ponieważ wskutek tego właśnie wśród nas pełno dziś mężów politycznych, przeto już z tego powodu należy przyjrzeć się bliżej politycznym dziełom zmarłego przywódzcy czeskiego, one bowiem dadzą nam miarę krytyczną do ocenienia własnych mężów stanu oraz ich działalności politycznej i niejedną pożyteczną wskazówkę.

Nasamprzód uprzytomnić sobie musimy, w jakich *warunkach* działał Rieger. Warunki te były zupełnie odmienne od tych, w których żył i żyje naród polski — ale poniekąd daleko *trudniejsze.* Porównać z niemi można jedynie warunki, o których dziś walczy o swój byt narodowy polski lud *śląski.* Urodzony w roku 1818 a więc przed 85 laty Rieger zjawił się na widowni politycznej około roku 1840. Wówczas to ledwie drobna cząstka Czechów była narodowo uświadomiona. Inteligencya narodowa stanowiła tak małą garstkę, iż gdy raz zebrała się w jednej walce, ktoś się odezwał: „Jeżeli teraz zapadnie się na nas powała — naród czeski znów przestanie istnieć.“ Nawet zaś część tej inteligencyi narodowej — chętniej używała języka niemieckiego niż czeskiego. I z takiego to żywiołu urósł pod przywództwem Riegera naród, który dziś ma piękną własną literaturę i sztukę, a który pod względem narodowym uchodzić może za najbardziej szowinistycznie usposobiony, szowinistycznie w dodatniem znaczeniu.

Rieger był synem zamożnego młynarza czeskiego ze wsi *Semila.* Ukończywszy studya prawnicze, zamierzał poświęcić się karyerze urzędniczej, lecz jak dziś u nas, tak wówczas w Czechach i Austryi dla narodowców nie niemieckich służba państwowa była zamknięta, niemal nieodstępna. Rieger rychło ją też porzucił i oddał się cały służbie publicznej. Pisywał artykuły do gazet, miewał wykłady na zebraniach i w stowarzyszeniach, organizował nowe, urządzał nawet bale i wieczorki — a wszystko tylko z myślą służenia swemu narodowi. Umiał przytem działać w tym kierunku tak zręcznie, iż zdołał uniknąć poważniejszych zatargów z niechętnemi nowemu wśród Czechów kierunkowi narodowemu niemiecko-austryackiemi władzami. Gdy wreszcie w roku 1848 cesarz austryacki zwołał pierwszy parlament swego państwa, popularność trzydziestoletniego Riegera była wówczas już tak wielka, iż go równocześnie w *siedmiu* okręgach wybrano *posłem.* Od tej chwili stał też faktycznie na czele swego narodu i rozpoczął swą ważną rolę na *wielkiej* arenie politycznej.

Doskonały mówca, gładki i uprzejmy w obejściu, poniekąd nawet „salonowiec“ — zdobywał sobie wstęp i poszanowanie w najwyższych nawet kołach społecznych i państwowych. I tu rozpoczyna się szereg pozornych *sprzeczności* w jego charakterze i działaniu. Mówimy wyraźnie *„pozornych“*, gdyż w rzeczywistości był on od początku do końca we wszystkiem bardzo stałym i konsekwentnym. Umiał jedynie dobierać *środki* odpowiednie do chwilowej sytuacyi. I tylko pod względem środków i sposobów działania był oportunistą, a nie pod względem *zasad.*

On — który w latach od 1842 do 1848 garnął się do zniemczonej szlachty czeskiej, zapraszał ją na bale „narodowe“, nadskakiwał jej w każdy możliwy sposób, — jako poseł w parlamencie wniósł *o zniesienie historycznego szlachectwa wogóle;* on, który wystąpił w parlamencie z zasadą: *„wszelka władza od ludu wychodzić winna“* — korzystał z każdej możliwej sposobności, ażeby wejść na podwoje dworu cesarskiego i stać się niezbędnym nawet absolutyzmowi, którego bronił wprost w pewnych wypadkach; on który pierwszy rozwinął sztandar *czeskiego prawa państwowego,* to jest dążył do uzyskania dla Czech zupełnej państwowej samodzielności i niezależności — pod koniec swej karyery politycznej odłożył postulat ten ad acta i czynił znaczne nawet ustępstwa na rzecz całości monarchii austryackiej; on, który nienawidził Niemców całą duszą, w końcu gotów był zawrzeć z nimi kompromis na podstawie dość znacznych ustęp z dawniejszych żądań swoich, ten demokrata, czerwony niekiedy, sam wreszcie prosił podobno cesarza o nadanie mu tytułu szlacheckiego — a jeżeli już sam nie prosił o to, to tytuł *barona* przyjął z wdzięcznością i chętnie go używał. Lecz przez wszystkie te sprzeczności wiła się tylko jako nić złota myśl wywalczenia dla Czechów jaknajwiększych ustępstw, kulturalnego i narodowego ich podniesienia, rozbudzenia w nich poczucia własnej siły i godności.

Wszystko, co w tych kierunkach czynił i podejmował miało ten jeden cel na oku, taką zaś odznaczało się *zręcznością, taką mądrością polityczną,* że nie raziło, przeciwnie, nosiło znamię konieczności, potrzeby realnej.

Hasłem jego życiowem było zawsze: *wszystko dla ludu czeskiego.* Pomimo tytułów i zaszczytów, orderów i znacznego majątku był do śmierci szczerym demokratą. Nawet wówczas, gdy lud czeski na chwilę odwrócił się od niego, gdy nowi ludzie pozbawili go władzy i miru wśród rodaków, gdy pospólstwo Pragi wybijało mu szyby i rzucało mu w twarz stra-

szny wyraz „*zdrajca*“ — odnosiło się to wyłącznie do jego polityki — a nie do jego *osoby*. Osobiście stał zawsze tak wysoko — że nikt mu nic zarzucić nie śmiał.

A właśnie ta bolesna chwila, w której naród, zawdzięczający mu niemal wszystko, odwrócił się od niego i poszedł za głosem młodych, gorętszych, więcej mu obiecujących — okazała w całej pełni nie tylko mądrość polityczną, ale także czystość i szlachetność charakteru Riegera. O co wówczas chodziło?

Jak już powyżej zaznaczyliśmy — Rieger widząc, że w ówczesnem położeniu Austryi nie zdoła wywalczyć spełnienia wszelkich swych żądań — rozpoczął politykę utylitarną, czyli jak ją w Czechach nazywano: politykę *okruchów*. Zadowalał się więc drobnemi ustępstwami, a wielkie postulaty narodowe odkładał na później. To, co w ten sposób wywalczył — stało się podstawą niebywałego rozwoju narodu *czeskiego*.

Wymienimy tylko uniwersytet, czeskie szkolnictwo średnie (gimnazyum, szkoły realne, przemysłowe, handlowe,) ogromne korzyści *materyalne*, — mimo to nie zadowalało zapaleńców czeskich. Łatwość, z jaką on i polityczni przyjaciele jego, tak zw. *Staroczesi* — pozornie osięgali te zdobycze, wzbudziła w młodszych kołach narodowych to mniemanie, że gdy tylko z większym naciskiem, z większą energią uderzą na rząd Niemców, uzyskają od razu wszystko, co narodowi czeskiemu jeszcze do szczęścia i samodzielnego zupełnie bytu potrzebnem było. Gdy zaś Rieger wzbraniał się iść za ich radą, stracił polityczne zaufanie tych kół, a w następstwie, przy wyborach roku 1890 wszystkie mandaty, dzierżone przez ściślejszych jego stronników, nawet mandat własny, i poszedł — na *odstawkę*.

Lector.



Kto lepszy?

Nowy proces przeciw gimnazyatom za pasem.

W Gnieźnie stanie przed kratkami 1 akademików i 15 gimnazyastów, z których 14 wydalono już z zakładu. Los gimnazyastów przypomnieli nam posłowie nasi w sejmie i to naprowadza nas na porównanie polskiej młodzieży z niemiecką.

Zbierali się i schodzili, aby uczyć się prawideł języka ojczystego, historyi i literatury ojczystej; łączyli się, ażeby rozniecać i utrwalać w swych sercach miłość wzajemną, przywiązanie i wierność dla narodu swego i ojczyzny, uszlachetniać duszę i wzbudzać w niej zapał do wszystkiego, co dobre i wzniosłe; urządzali wykłady i pogadanki, aby poznać zawczasu smutne położenie społeczeństwa swego, obowiązki swoje względem niego i przygotować się należycie do późniejszej służby obywatelskiej. Czynili więc dobrze — bo przejmowali się jedynie tem, co Bóg uświęcił i przekazał ludziom i narodom jako najświętsze ideały. Tak robili gimnazyaści w Prusach Zachodnich.

A jednak poczytano im to za grzech, za winę i skazano za to jak zwykłych przestępców na kary więzienne, na pozbawienie już pracą i nauką zdobytych praw do krótszej służby wojskowej, zamykając im zarazem drzwi do wszystkich zakładów naukowych. Zarzucano im, że zajmują się takiemi sprawami *potajemnie* i że w tej tajemniczości mieści się kryteryum *spiskowania* przeciwko państwu. Nie zważano na to, że tej biednej młodzieży polskiej — bo o niej tu mówimy — jawnie *również* nie wolno zajmować się temi ideałami....

Mniejsza już o to, że skazały ją *sądy*. Te bowiem stósować się muszą do *ustaw* państwowych, podyktowanych tak zw. *racyą stanu, która nie zawsze jest w zgodzie z przykazaniami Bożemi i prawami przyrodzonemi narodów*. Gorsze było to, że potępiła ich także *opinia narodu niemieckiego*. Naród ten zapomniał widocznie, że sam niegdyś dźwigał obce pęta i że wówczas radował się, widząc, jak młodzież jego również takie pielęgnowała ideały. Dziś w szczęściu i na szczycie ziemskiej potęgi nie chciał nawet słuchać, gdy mu to przypomniano. Złością i szyderstwem obrzucał tę biedną młodzież polską, nie miał dla niej ani litości, ani wyrozumienia, traktował ją na równi ze zbrodniarzami.

Innym bo on dziś hołduje „ideałom“ — inaczej wychowuje młodzież swoją. Przypatrzmy jej się bliżej — na kilku chociaż przykładach.

W *Berlinie* schwytano niedawno temu uczniów najwyższej klasy gimnazyalnej, gdy z złodziejskiemi „wytrychami“ w ręku dobierała się do kancelaryi dyrektora, aby z niej wykraść zadania abituryenckie. W *Wrocławiu* wykryto również *tajny* związek młodzieży niemieckiej, mający na celu *nie naukę* i krzewienie ideałów, lecz *hulanki, pijaństwo, rozpustę z nierządnicami*.... Lecz te przykłady bledną jeszcze wobec następującego, *najświeższego*.

W pewnym lokalu restauracyjnym w *Karlsruhe* w Badenii siedziało przed kilku miesiącami grono studentów z Fryburga, między nimi stud. *Reiss*. W tem weszło do sali grono studentów z Karlsruhe z niejakim *Russem* na czele. Jeden z nich ukłonił się Reissowi, którego znał, a gdy Reiss odkłonił mu się trochę chłodno, podszedł ku niemu i poprosił go do sąsiedniego pokoju. Tam czynił mu wyrzuty, że już nie pierwszy raz nie zbyt grzecznie reaguje na jego ukłon.

Reiss żachnął się na to, a wróciwszy do swoich kolegów, powiedział *półgłosem*: „Co też sobie właściwie myślą ci studenci z Karlsruhe?“ Siedzącemu obok gronu zdawało się, że Reiss powiedział: „ci *głupi* studenci z Karlsruhe.“ Zaraz tedy zerwał się ich przywódzca *Russ* i przystąpiwszy do *Reissa*, zażądał wyjaśnienia.

Ten oświadczył, że wyrazu, „głupi“ nie użył — lecz dalszych wyjaśnień odmówił. Wówczas *Russ*, zdradziecko, bo z tyłu uderzył *Reissa pięścią w twarz tak silnie, że uderzonemu krew rzuciła się z ust i nosa, a nawet pękła mu żyłka w oku*. Bójce, do jakiej rwał się napadnięty, przeszkodzili właśni jego koledzy, twierdząc, że sprawa ta musi się rozstrzygnąć w inny *„honorowy,“* według ich pojęć, sposób. Zwołano tedy sąd honorowy, a ten uznał, że między Russem a Reissem musi przyjść *do pojedynku*. Ponieważ zaś związki studenckie, do których należeli, żyły z sobą na stopie wojennej *(im Verruf“)* uznano za broń odpowiednią jedynie *pistolety*. W kilka dni później odbył się ten pojedynek a skończył się tak, *że niewinny Reiss padł od razu ugodzony śmiertelnie kulą z pistoletu Russa!*

Sprawą tą zajmował się teraz sąd w Karlsruhe. W sprawie sądowej wyszły na jaw szczegóły, rzucające ponure światło na młodzież niemiecką. Stwierdzono, że zarówno *Reiss* jak i *Russ* spędzili wieczór przed pojedynkiem na zabawie w domu rozpusty i na hulance; stwierdzono dalej, że *Russ* zastrzeliwszy *Reissa*, poszedł najspokojniej z kolegami *„na piwo i bilard.“* Z listów pisanych przez niego dowiedziano się, że nie czuje najmniejszego żalu z powodu swej zbrodni, że przeciwnie, *cieszy się, iż dał przeciwnikom swego „koru“ taką nauczkę“!* Dowiedziano się wreszcie, *że nie ma mowy o tem, aby ta zbrodnicza mania pojedynkowa i to fałszywe pojęcie o honorze dały się wyplenić wśród studentów niemieckich*. To bowiem są *ich* ideały, dla których chętnie niosą w ofierze swe *twarze i swoje życie*...

Sąd wobec niezwykle, odrażająco dziko-brutalnego usposobienia *Russa* skazał go na *3 i pół roku więzienia fortecznego.* Prasa niemiecka już biada i jęczy nad *zdziczeniem młodzieży niemieckiej...* Wypadek ten *nie* jest bowiem jedynym w swoim rodzaju; kroniki akademickie zapisują ich co rok więcej, a coraz *brutalniejszych....*

Pytamy teraz, która młodzież lepsza, ta biedna, prześladowana młodzież polska, łaknąca *wiedzy, nauki, szlachetności,* kochająca nadewszystko *naród swój* i poświęcająca dla niego nawet *rozrywki swoje,* czy młodzież *niemiecka,* krzepiąca się *kuflem* i *kieliszkiem, mordująca się nawzajem z najbłahszej przyczyny?* Odpowiedź na to nie trudna chyba, ani nie wątpliwa...

Kto wie, może to już nemezis — *kara Boża,* lub conajmniej *jej początek.* Bo że przyszłość nie będzie należeć do takich Reissów i Russów, lecz do tych, którzy dążą do *doskonałości* w służbie szczytnych ogólno ludzkich ideałów, to rzecz tak samo pewna, jak pewnem jest, że światem rządzi sprawiedliwość Boża!

Niechże pamiętają o tem także rozmaici *pisarze nasi,* z rodzaju rozmaitych *„scriptorów“* — którzy to gromy miotają na młodzież polską za jej zapał i gorliwość do pracy narodowej. Niech nie hamują tego szlachetnego prądu wśród młodzieży naszej, ażebyśmy się nie doczekali kiedyś z niej takich *Reissów i Russów....*

Czujny.



Nareszcie dowiedział się także *parlament niemiecki,* z jak strasznego niebezpieczeństwa wybawiły Niemców sądy pruskie, konfiskując rozmaite karty pocztowe z patryotycznemi polskiemi obrazkami. Zawdzięcza to dobroci serca posła naszego mecenasa *Chrzanowskiego,* który wyzdrowiawszy dzięki Bogu z dość ciężkiej niemocy zaraz pospieszył do Berlina, ażeby i Niemcom sprawić radość i przyjemność. Wiedząc zaś, jak bardzo gustują w illustrowanych pocztówkach, zawiózł im całą tekę tych właśnie kart polskich, które policya uznała za tak bardzo niebezpieczne dla Niemiec. Były między niemi słynne obrazki Grottgera z „Polonii“ roku 1863, Kossaka illustracye do pieśni legionów, przechowywana gdzieś w ukryciu korona polska, alegorya łączności wszystkich stanów w Polsce, portret Kościuszki i jego przysięga na Rynku krakowskim itd. itd. Dar ten wywołał w parlamencie prawdziwą sensacyę. Posłowie formalnie wydzierali sobie te karty i oglądali z wielkiem zajęciem — a z twarzy ich poznać było można, że żaden z nich, czy to konserwatywny „junkier,“ czy nacyonal-liberał, czy socyalista nie mógł pojąć, czem właściwie zagrażały potężnym Niemcom? A podczas gdy je tak oglądali, poseł *Chrzanowski* z mównicy w blizko godzinnej mowie „objaśniał“ im postępowanie sędziów pruskich względem Polaków w polskich dzielnicach.

Cięty to mówca, chociaż ma taką słodycz na twarzy, umie dociąć do siódmej skóry, w tym dniu zaś ciął z podwójną mocą, jak gdyby chciał powetować to, co stracił przez dłuższą swą nieobecność w parlamencie. „Patrzcie — wołał do posłów — przekonajcie się sami! Takie niewinne obrazki ulegają u nas konfiskacie i karom sądowym. A niestety — nie tylko karty, lecz i żywi ludzie narodowości polskiej dużo znosić muszą ze strony „pruskiej sprawiedliwości.“ Sędziowie w polskich dzielnicach ulegają w znacznej części wpływom politycznym, sądzą Polaków bardzo surowo, a co najgorsze, grzeszą wielkiem nieuctwem w rzeczach polskich. Jakże może sędzia pruski wydawać wyrok w jakiej polskiej sprawie, gdy niema pojęcia o tem, kto np. był *Słowacki,* kim jest *Teodor Tomasz Jeż* itd. Ci sami sędziowie, którzy rozczulają się nad męką katowanego zwierzęcia, z zimną krwią skazują na wysokie kary młodzież polską za to tylko, że uczyła się dziejów ojczystych, lub rodziców, gdy ujmują się za swą dziatwą.“

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że posłom niemieckim mowa naszego posła stanowczo mniej sprawiała przyjemności, jak oglądanie owych obrazków, mimo to pod ich wpływem nie śmieli oponować. Tylko reprezentant rządu, sekretarz stanu dla sprawiedliwości pan *Nieberding,* niecierpliwie czekał końca mowy, mając już naprzód przygotowaną odpowiedź. W tem mówca nasz podnosi głos i z naciskiem zaznacza, iż sędziowie pruscy kierują się względem zwierząt sentymentalnością, a względem Polaków brutalnością, i że ten sposób ich postępowania zdobywa już sobie miano „sprawiedliwości polskiej.“ Na te słowa pan minister aż się zerwał z krzesła i spojrzał na marszałka, przekonany, że tenże natychmiast przywoła posła Chrzanowskiego do porządku. Ale pan hrabia Ballestrem tak był zatopiony w oglądaniu karty z portretem Kościuszki, że jakoś niedosłyszał tej uwagi polskiego mówcy. A może też myślał o *wyborach* w okręgu gliwickim... Z konieczności więc sam pan *Nieberding* musiał odeprzeć te zarzuty przeciwko sędziom pruskim. Uczynił to też z wielkiem oburzeniem, odmawiając im wszelkiej słuszności, a tak się przytem roznamiętnił w gniewie, iż zupełnie zapomniał.... udowodnić, iż także konfiskata owych kart z widokami była — *sprawiedliwą.* A no dzięki tym kartom sukces dnia pozostał przy pośle Chrzanowskim. Serdeczne też należy mu się podziękowanie, że stara się poinformować Niemców o wyrządzanych nam krzywdach i o rzeczach polskich wogóle za pomocą tego rodzaju *„nauki poglądowej;“* kto wie może ona więcej zdziała, niż suche słowa...

W dwa dni później w podobnie ostry sposób piętnował postępowanie władz pruskich mianowicie w sprawach szkolnych w *sejmie pruskim* poseł ksiądz prałat *Stychel.* I ten mówca przytoczył cały szereg bardzo znamiennych faktów, a w końcu z siłą i szczerością oświadczył, że dopóki w ten sposób rząd pruski traktować będzie ludność polską, nie może być mowy o tem, ażeby Polacy Niemców — kochali. Będziemy tylko poddanymi państwa pruskiego — więcej od nas nie żądajcie, bo nie macie prawa żądać. Po zatem jesteśmy i pozostaniemy na wieki *Polakami* przejętymi *polskim patryotyzmem. Znów więc* usłyszeli najserdeczniejsi nasi, „po czemu łokieć“ — i wiedzą, że umiemy należycie ocenić ich — politykę.

Kilka dni przed temi „debatami polskiemi“ toczyła się w sejmie pruskim inna drażliwa dyskusya, nie na tle polskiem, lecz *katolickiem,* dyskusya, która przypomniała żywo czasy walki kulturnej. Chodziło o biskupa trewirskiego, ks. dra *Koruma.* Wydał on niedawno list pasterski, w którym pod karą odmówienia absolucyi zakazał rodzicom katolickim swej dyecezyi posyłać córki do symultannych wyższych szkół państwowych żeńskich. Takie symultanki zawsze i wszędzie bowiem albo uprawiają wprost kult Lutra, albo szerzą bezwyznaniowość, w każdym zaś razie nie dają katolickim dzieciom należytej podstawy religijnej. Biskup miał więc najzupełniejszą słuszność — wydając takie ostrzeżenie, cóż kiedy ugodziło ono w achilesową piętę kulturników pruskich. Z tych sfer zaraz uderzono na alarm. „Jak śmie — wołano i pisano — biskup katolicki w ten sposób występować przeciwko szkołom

rządowym. Przecież paragraf o kazalnicy z ustaw majowych nie jest jeszcze zniesiony. W lot też ukuto interpelacyą do rządu i w uzasadnieniu jej uderzono silnie w ton kulturkampfu.

Lecz echo, które się odezwało od stołu rządowego, nie odpowiadało oczekiwaniom wrogów kościoła. Zarówno kanclerz hr. Bülow, jak i minister oświaty Studt raczej się bronili wobec Biskupa, niż na niego uderzali. Kanclerz przyrzekł wprawdzie, iż „takiej nietolerancyi'' z jego strony tolerować nie będzie'' i tem uspokoił większość, w gruncie rzeczy atoli powiedział sobie: ani mi się śni zrażać sobie centrum. Ostatecznie też wszystko poszło gładko. Za wstawieniem się ks. kardynała Koppa Biskup Korum przyrzekł zaniechać dalszej walki przeciwko owym szkołom — ale listu swego nie cofnął.

Wypadek to bardzo znamienny. Wykazał bowiem, że dziś rząd pruski boi się formalnie zadrzeć z *niemieckimi Katolikami* i że katolicyzmowi, o ile jest *niemiecki*, poważniejsze niebezpieczeństwo już w Niemczech *nie grozi*. Rząd skupia swe siły wyłącznie dziś *przeciwko Polakom* i do tej walki potrzebuje poparcia także *niemieckich* katolików *i niemieckich nawet biskupów*. Tych więc będzie dalej głaskał, a nas bił. W tej zmianie frontu kół rządowych mieści się dla nas poważna nauka i miejmy się na baczności przed *Niemcami katolikami*, oni bowiem dla własnego dobra jeszcze nam kiedyś srogiego łupnia zadać mogą. Pamiętajmy o tem, że przecież i *Krzyżacy* byli — niemieckimi katolikami. Zawczasu tedy wzmacniajmy własne siły, abyśmy się nietylko obyć mogli bez pomocy Niemców katolików ale nadto, abyśmy im także czoło stawić zdołali, gdy otwarcie przejdą na stronę rządową.

Zresztą nic ważniejszego nie stało się na szerokim świecie w polityce. W sprawie *macedońskiej* żadna nie nastąpiła zmiana, we *Francyi* rozpoczęły się znów wielkie obrady przeciwko zakonom w *Izbie deputowanych* — a we Włoszech koła rządowe przygotowują się na uroczyste przyjęcie dwóch cesarzy: Wilhelma II i Mikołaja II — i naprzód już starają się wyłowić wszystkich anarchistów. Zresztą nic nowego w świecie, stara bieda, stara niewola i — niepewność jutra.

M. O.

Przegląd prasy.

Arcyznamiętnem jest stanowisko pism socyalistycznych wobec głośnej sprawy Czytelni kobiet. W obozie tym zrozumiano widocznie, że stokroć groźniejszą dla socyalizmu jest metoda zwalczania socyalizmu, za jaką przemawia „Praca,'' od „energicznych,'' a niezgodnych z dzisiejszemi pojęciami środków zalecanych przez ks. Zimmermanna i zastósowanych w steroryzowanej Czytelni kobiet. Socyalistyczna *„Gazeta Robotnicza''* nie ma *ani słowa* nagany dla ks. Zimmermanna i najchętniej jawnie podziękowała-by mu za reklamowanie socyalizmu. Natomiast z wielkiem niezadowoleniem występuje przeciwko „Pracy,'' która — jak pisze — „wystąpiła z mdłym artykułem przeciwko całej tej hecy,'' przekonuje ks. Z. Zakrzewskiego i „mówi dużo o jego „szczerym i interesującym'' artykule.''

„Szydło z worka wyłazi — czytamy w „Gazecie Robotniczej." — W końcu artykułu p. Vester'a czytamy: „Przedewszystkiem nie przyczyniajmy się sami do propagandy socyalistycznej...." „pamiętajmy, że mniej niebezpiecznem jest, jeżeli socyalista w gronie towarzystwa zdobędzie dwóch lub trzech cichych zwolenników swych przekonań, niż kiedy głośna reklama na skutek skandalu wyrzucenia zdobywa tysiące." Więc o co chodzi. „Praca" wolałaby gnębić niebezpieczny socyalizm nie tak już *po barbarzyńsku*, przyodziawszy wprzódy białe rękawiczki przyzwoiciej."

O polemice naszej z ks. Zimmermannem i jej humorystycznem ukończeniu na łamach „Kuryera P.,'' którego blaga serdecznie ubawiła czytelników, pisze trafnie acz nieco trwożliwie *„Postęp.''* Chociaż nam nieprzychylny (z przyczyn obecnej redakcyi nieznanych) *„Postęp''* staje po naszej stronie; od pierwszej chwili zajął on stanowisko zbliżone do naszego, chociaż nie miał tej odwagi, by śmiało wystąpić w szranki pospołu z nami. Artykuł ten podajemy niemal cały:

„Wychodząca tutaj w Poznaniu „Praca," czasopismo wydawane przez p. Biedermanna, zamieściła w znanej sprawie socyalistki Gulińskiej artykuły, które były przeciwne wydaleniu tej pani z „Czytelni kobiet." „Praca" dowodziła, że socyalistów nie takiemi środkami zwalczać należy i przytaczała na swój dowód, że w Anglii socyalizm stracił na znaczeniu właśnie dlatego, że mu dano wszelką wolność. Ks. Zimmermann wystąpił dość ostro przeciwko „Pracy," że ujmuje się za socyalistami, a przedewszystkiem za agitatorką Gulińską. Swe artykuły zamieszczał ks. Zimmermann głównie w „Kur. Pozn." i „Dzien.", w tych dwóch organach wszelkiego reakcyonizmu. Że ks. Zimmermann występował przeciwko socyalizmowi, nie było by w tem nic takiego, nawet obowiązkiem kapłana jest ostrzegać przeciw naukom socyalizmu, gdyż wiadomą jest dobrze rzeczą, że socyaliści zwalczają wszędzie gdzie mogą religią, a już najgorzej są usposobieni przeciwko Kościołowi katolickiemu. Ks. Z. jednakże w swych artykułach *groził wprost bojkotem „Pracy,"* że się ujmowała za p. Gulińską.

„Tymczasem co się dzieje, zrobiono zeszłej soboty małą nagankę na „Pracę" w rodzaju naganek czyli deklaracyi, jakie przed kilku laty praktykowano w tak obfitej mierze przeciwko „Orędownikowi" i „Postępowi." Taka forma wystąpienia przeciwko „Pracy" *zaraz okazała zię wstrętna.* Wprawdzie nie wystąpiono wprost w owej deklaracyi obywatelskiej przeciwko „Pracy," tylko wyrażono uznanie dzielnych wystąpień ks. Kazimierza Zimmermanna przeciw tolerowaniu socyalistów w naszych polskich katolickich stowarzyszeniach, wymagając usilnego a energicznego poparcia ze strony społeczeństwa.

„Pod odezwą czyli deklaracyą byli podpisani tego rodzaju ludzie, jak ks. Zdzisław Czartoryski, W. hr. Engestroem, któremu swego czasu nie było honorem zasiadać w komitecie, gdzie był p. Knapowski, dr. Szymański oraz i inni ludowcy, dalej był podpisany Adam Woliński, dr. Wład. Łebiński, Stefan Cegielski, adwokat Dziembowski i różni tego pokroju ludzie „ładu i porządku", a jeszcze zachęcano, ażeby cała falanga w dalszym ciągu podpisywała się pod deklaracyą. Słowem powtórzyła się ta sama naganka, jaką już praktykowano przed 10 laty i poniesiono wówczas zupełne fiasko. *To są nasi politycy, którzy chcą w ten sposób zwalczać socyalizm.* Innej drogi więc nie mają, jak *bojkot*, myślą, że to jest najskuteczniejsza broń na zwalczanie idei socyalistycznych. *Małoduszni*.

„*Była to czysta komedya i nic więcej.* Za to, że ktoś napisze kilka artykułów i do tego człowiek, który dopiero wstępuje w szranki publicznego życia, zaraz mu wyrażać słowa uznania przez całe społeczeństwo, to doprawdy szczyt naszej blagi i fałszywe pojmowanie sprawy społecznej. Ks. Zimmermann zmiarkował się też na tem i oświadczył w „Kuryerze Poznańskim", ażeby mu nie wyrażano dalszych sympatyi w deklaracyach! „Kuryer Pozn." też przystał na to oświadczenie i napisał, że nie zamieszcza dalszych podpisów! *Zupełne fiasko zrobiła ta deklaracya!* Zmiarkowano się jeszcze w czas i całą deklaracyą *schowano do kieszeni. Istna komedya, na jaką w naszem społeczeństwie w sferach wyższych tylko mogą się zdobyć.*"

„Orędownik'' także potępia tę niefortunną odezwę, pisząc:

„Deklaracya ta smutne robi wrażenie. Żeby nie tracić za wiele drogiego u nas miejsca dla tej sprawy, nie będziemy od siebie wykazywali, że deklaracya to chybiony krok."

W korespondencyi zaś, która przykre robi wrażenie, zdradzając bardzo nizki etyczny poziom piszącego, nazywa „Orędownik'' deklaracyę —

„szopką, której w naszych stosunkach unikać trzeba.“ W istocie mogła ona być aktem wielce niepolitycznym, lecz pozostała tylko pomnikiem wstecznictwa, aktem nierozwagi — zopką.

„Goniec Wielkopolski,“ który zrazu oświadczył się wyraźnie za wydaleniem socyalistki z Czytelni kobiet, stanowisko swe zmienił zupełnie i napiętnował wstecznictwo i bojkot, proklamowane ze strony reakcyonistów. O słynnej (!!) odezwie pisze *„Goniec“* *ironicznie*:

„Czyż wobec takiego surmy wojennej odgłosu, wzywającego społeczeństwo „na wały“ przeciwko naporowi socyalistycznemu, czyż wobec tak wspaniałego „aktu politycznego“ nie znikną oszczercze utyskiwania na bezmyślność i bezczynność naszych sfer uprzywilejowanych ?!“

A armia przeciwko której zataczają wstecznicy „tak ciężkie działa składa się z jednej białogłowy i półtora chłopa!“ „Czyż nie zakrawa to na walkę z wiatrakami? Czyż potrzebny był ten odgłos surmy wojennej?“

„Ale „ojcowie ojczyzny — czytamy dalej — mieli jeszcze inny cel, z pierwszym bezpośrednio związany. „Powagą“ swą *zasłonić chcieli ks. Zimmermanna od pocisków*, które przeciwko niemu wymierzano ze wszech stron. Ks. Zimmermann pierwszym swym — nawiasem mówiąc, bardzo *słabo napisanym i licho umotywowanym* — artykułem narobił wiele *niepotrzebnego* hałasu i śmiesznej wrzawy, *zagalopował się fatalnie*. Prasa straktowała go bardzo łagodnie, *natomiast w szerokich kołach społeczeństwa padały zwroty bardzo ostre*.... Trzeba było ratować polityczną renomę „małego konsystorza.“ Szybko przeto w obronie „dzielnych“ (czytaj: *niesmacznych i politycznie niedojrzałych*) wystąpień ks. Zimmermanna odezwało się towarzystwo wzajemnej adoracyi, czyli „powagi“ z „Dziennika“ i „Kuryera.“

O farsie zaś odegranej przez „Kuryera“ na benefis, czy na pocieszenie ks. Zimmermanna pisze *„Goniec W.“* jak następuje:

„Krotochwilni politycy z „Kuryera“ w dalszym ciągu bawią się w politykę, przyczem rolę *politycznej piłki* odgrywa osoba ks. Zimmermanna. Snać rola ta ks. Zimmermannowi *nie przypada do gustu*, bo w dzisiejszym numerze „Kuryera“ dziękuje co prawda autorom deklaracyi za „poparcie sprawy,“ lecz prosi, by osoba jego nie była „przedmiotem dalszych publicznych wyrazów sympatyi“!...

„Musiały w obec tego panów z „Kuryera“ przykre ogarnąć uczucia, bo nie będą mieli sposobności uwieńczenia drukiem „poważnych“, „poważniejszych“ i „najpoważniejszych“ naszych „wielkości“.

„A dowiedzieć się warto, że nadto „Kuryera“ „deklaracya“ wywołała — słuchajcie! słuchajcie! — w szerokich kołach naszego kraju (ho ! ho !) chęć przyłączenia się do publicznej manifestacyi (tramtararamta...) ku uczczeniu dzielnego kapłana“. „Ze wszystkich stron naszej dzielnicy — pisze dalej „Kuryer“ — a także i ze Śląska i z Prus Zachodnich (niech żyje blaga!) odebraliśmy zgłoszenia się do podpisów pod deklaracyą. Kilkunastu młodszych obywateli doniosło nawet, iż zamierzają urządzić zebranie w celu omówienia, jakby najlepiej uczcić w osobie ks. Zimmermanna ideę, za którą poszedł na wyłom...“

Panie, ty widzisz a nie grzmisz! zawołałby zrozpaczony Zagłoba; a my powtarzamy niech żyje *nasza swojska, nasza polska blaga!*“

„Wielkopolanin“ zapoznaje swych czytelników z przedniejszemi obiecankami *socyalistów* i wykazuje ich nicość, chcąc widocznie wyposażyć warstwy ludowe w odporność przeciwko socyalizmowi.

„Przechwałki socyalistów — pisze „Wielk.“ — że oni jedni zajmują się rozwiązaniem tak zwanej „kwestyi społecznej“, że ostra krytyka porządku społecznego, zawarta w pismach ich dawniejszych i obecnych przywódzców jedynie przyczyniła się do zmiany na lepsze i do reform są czczym wymysłem.“

W toku artykułu czytamy:

„Przypuśćmy, że cały zysk z wykonywanej i równo rozkładanej pracy wpływać będzie do wspólnej kasy, czyli, że pojęcie własności osobistej istnieć przestanie.

„Jakiż z tego będzie skutek?

„Otóż ten, że zapanuje okropna bieda w państwie socyalistycznem, w tem państwie, które ma być przecież rajem dla ludzkości.“

Gazety nasze notują cały szereg *wieców przedwybroczych*s w Czersku, w Czarnkowie, w Międzyrzeczu, w Schalke-Hessler (w Westfalii). Pierwszy z wymienionych wieców — rozwiązała policya „dla zgiełku panującego w sali.“ „Komitet chojnicki — pisze korespondent *„Dzien. Pozn.“* — nie ma szczęścia“; pierwszy bowiem wiec w tymże powiecie (w Brusach) także rozwiązano. Trzeba więc będzie zwołać jeszcze trzeci wiec.

„W *Międzyrzeczu* — pisze „Dzien.“ na zebraniu wyborczem niemieckiem powiedział major v. *Klitzing*, że na *wyraźne życzenie cesarza wszyscy niemcy w prowincyi poznańskiej mają sfornie głosować*. Chodzi o to, aby o ile możności wybrać jak największą liczbę posłów niemieckich bądź konserwatywnych, bądź liberalnych.

Na wiecu w *Westfalii* wszyscy mówcy utyskiwali na centrum i brak opieki duchownej i wszyscy radzili, by głosować na polskiego kandydata.

Gazeta centrowa w Dortmundzie „Tremonia“ zapłonęła nagle afektem do Polaków z obawy, że Polacy westfalscy nie oddadzą głosów na ich kandydata. Z tego już widać — jak zaznacza *„Dzien. Berl.“* — że „energiczna postawa naszych rodaków tamtejszych jednak na coś się przydała.“ A na zjeździe dziekanów tamtejszych uchwalono starać się o polepszenie stosunków duszpasterstwa dla Polaków.“ Trzeba to przypisać względom na — wybory. Ale wszystkie umizgi przedwyborcze nie powinny naszych rodaków odwrócić z właściwej drogi!

„Ważny wyrok — donosi *„Dzien. Pozn.“* wydał dnia 31 stycznia r. b. piąty senat cywilny poznański w sprawie świadectw i języka, w którym się świadectwa składają.

„Chodziło o rozpoznanie protestu przeciwko karze, zapadłej na świadka za to, że nie chciał świadczyć po niemiecku.

„Senat uwzględnił protest ten, ponieważ się wykazało, że świadek nie miał złej woli, bo na pytania niemieckie o personalia odpowiadał po niemiecku i złożył też przysięgę niemiecką, powtarzając rotę, jaką mu słowo w słowo odczytano. Dopiero kiedy żądano od niego obszerniejszego wywodu w sprawie po niemiecku, stanął na stanowisku, że nie posiada języka niemieckiego w dostatecznej mierze, żeby zdać zwięzłe oświadczenie.

„Sąd stanął po jego stronie i stwierdził, że niema prawa, któreby w takim razie nawet obowięzywało świadka do próby odnośnego oświadczenia w języku, którego dostatecznie nie rozumie.“

O nowym *naczelnym prezesie W. K. Poznańskiego,* panu v. Waldow obiegają pogłoski, że postara się o *nowe, ostrzejsze prawa przeciwko Polakom!*

„Köln. Volksztg.“ — jak zapisuje „Dzien. Pozn.“ —

„potępiwszy w czamcuł całą dotychczasową politykę antypolską, powiada: „Hakatyzm stał się wprost śmiesznym. Teraz zrodził się nawet projekt przechrzednia prowincyi poznańskiej na „Südpreussen“. W końcu nazwie się może prowincyę poznańską — „Provinz hakatysta“. W dalszym ciągu powiada organ nadreński, że nie łatwo rządowi znaleźć taką drogę do odwrotu, którąby nie nadwyrężyła powagi państwa. Nie ulega jednak wątpliwości, że z dotychczasowej drogi rząd prędzej czy później będzie musiał nawrócić, bo dziś już liczni nieprzyjaciele Polaków przyznają, że eksperyment antypolski się nie udał.“



Głosy od przyjaciół.

Poznań, 11. 3. 03.

Szanowny Panie Redaktorze!

Śledząc dotąd z zajęciem publicystyczną szermierkę w naszej prasie zainicyowaną przez organ Pański artykułami, przemawiającemi za tolerancyą przekonań, nie mięszałbym się i dziś do wymiany zdań, gdyby nie pewne wypadki z ostatnich dni, które zdają się świadczyć o zanikaniu zdrowej opinii publicznej w naszem społeczeństwie. Fakt, że ksiądz Zimmermann przeskoczył w swej polemice od rzeczowych argumentów do grożenia bojkotem „Pracy", za to, że w rzeczach tolerancyi odmienne od niego wygłosiła zdanie i poważyła się bronić swego przekonania, jest niestety u nas metodą używaną i zdaje się nie razić nikogo. Świadczy o tem między innemi odezwa umieszczona w „Dzien." i „Kur. Pozn." podpisana przez dwudziestu kilku obywateli, a solidaryzująca się bez wszystkiego z postępowaniem ks. Zimmermanna. Podobnym objawem jest korespondencya, umieszczona w nr. 57 „Orędownika," nie pochwalająca tylko dla tego wyżej wspomnianej odezwy, że występuje ona za uznaniem „dzielności" ks. Z. jako obywatela, a nie wprost przeciw „Pracy." Ową korespondencyę, która jest po prostu poleceniem innego rodzaju bojkotu, moglibyśmy pominąć, jako objaw osamotniony, gdyby redakcya „Orędownika" nie wypowiedziała wyraźnie, że zgadza się „zupełnie" z wywodami w niej zawartemi!

Co do mnie, żywię przekonanie, że zróżniczkowanie i ścieranie się zdań pod względem politycznym, społecznym i naukowym idzie ręka w rękę ze zdrowym rozwojem dzisiejszych społeczeństw, że tamowanie swobodnej wymiany myśli jest pracą na rzecz wstecznictwa i że bojkot, stósowany lub polecany w obrębie społeczeństwa samego, mianowicie bojkot za przekonania jest *czynnikiem zgubnym* dla naszego społeczeństwa, przygniecionego już i tak systematycznym bojkotem z innej strony.

Poparcie, jakiego doznał ks. Z. grożący bojkotem polskiemu organowi prasy, jest, jak sądzę, objawem nieświadomości, panującej u nas co do *najistotniejszych interesów społeczeństwa.*

Pozostawiając Szanownej Redakcyi do woli, czy zechce podać niniejsze oświadczenie do wiadomości publicznej, łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Dr. J. N. Szuman.

Z miasta, dnia 5 marca.

(W sprawie poszanowania przekonań.)

Cześć Wam i dzięki, szanowni panowie redaktorowie „Pracy," żeście tak pięknie i śmiało wystąpili w obronie prawdy i sprawiedliwości, z okazyi burzy w Czytelni dla kobiet.

Gdyby nie Wasz głos, to nad biedną dzielnicą naszą zapłakaćby mogła reszta naszego społeczeństwa, — miałyby prawo urągać nam i szydzić z nas społeczeństwa obce. I pozostałoby tylko, jak nad umarłymi, wznieść nad nami ręce ze słowami: „requiescant in pace"......

Bo przecież to droga do nieuchronnej zagłady, takie pogardzanie wszystkiem co odbiega, choćby na pozór, od zasad wpajanych nam za młodu w serca i umysły! Niezbitym jest pewnikiem, zatwierdzonym przez doświadczenie życiowe, że nauka szkolna, to tylko klucz do dalszego kształcenia się i urabiania samodzielnych poglądów na zjawiska życiowe, że ta nauka, pogłębiona nawet wyższemi studyami, staje się minimalnej wartości dla tych, którzyby w dalszem życiu nie podążali za ogólnym postępem w rozwoju intelektualnym, i spuścili z uwagi zdobycze wiedzy, zamiast je śledzić i starać się zrozumieć. — Najlepiej zaś prowadzi do tego wymiana myśli, ścieranie się zdań, choćby najsprzeczniejszych, i dla tego też na *szerokim świecie* ludzie w różnych szlachetnych celach, (a takim też jest szukanie i szerzenie światła,) łącząc się w stowarzyszenie, *nie uważają nawet za potrzebne informować się wzajemnie jakiego są wyznania i jakich politycznych przekonań.* To co dla nas święte, co czcimy i kochamy — im świętsze, im więcej, silniej kochane i czczone, tem głębiej tkwi w duszy, a samo przypuszczenie, że ktoś mógłby wydrzeć nam te skarby — uwłacza ich świętości. —

Odmiennych jednak są zapatrywań ks. Zimmermann i jego przyjaciele.

Ich zdaniem więcej jeszcze niż hakatyzm czyhają na naszą dzielnicę rozliczne inne złowrogie siły, wobec których trzeba bić na alarm, i które zwalczać należy na każdym kroku. Więc czytamy i słyszymy o „zgniłym Zachodzie," iż tylko nas zdemoralizować i do gruntu może popsuć. —

A i przeciw naszym kochanym rodakom z za kordonu nie dalej jak kilka miesięcy temu głoszono piśmienne rady, aby się z nimi nie zanadto zadawać, bo młodzież naszą, która ma *„podobno"* być „solidniejszą" powinniśmy chronić od wpływu młodzieży z Królestwa, bo tamta, *„podobno"* ma psiro w głowie i myśli o głupstwach. Panie zaś nasze — głoszono — tylko stracić mogą na łączeniu się z galicyankami i warszawiankami, gdyż zarażą się wstrętną emancypacyą i staną się jak tamte „przewróconemi głowami." Jakże wobec tych naiwnych, iście dziecinnych obaw mógł ks. Zimmermann pozostawić nas w spokoju na wieść, że tu bliziutko, wśród naszych kobiet znalazła się socyalistka. —

Nauka nie poszła w las. Kują w parlamencie dowolne prawa przeciw nam Polakom, więc i *my zrobiliśmy tak samo*, dla pozbycia się złowrogiego żywiołu, co grozi przewrotem, — i mamy przekonanie, że to łatwo, — tak łatwo, iż dziwić się należy dlaczego ich tam tylu tych socyalistów napakowało się do parlamentu, a nie znaleziono jeszcze wynalazcy na paragraf, żeby ich się pozbyć. A co gorsza, pozwalają im tak dużo mówić, tak dużo, że aż dwie czy trzy godziny trwała ostatnia mowa posła Bebla i wszyscy słuchali z uwagą, a musiał mówić dobrze kiedy nawet nasze pisma go pochwaliły i podały z tej mowy wyjątki. Czytaliśmy je pilnie, i gotowiśmy nawet byli zachwycić się siłą argumentacyi, logiką wnioskowania, temperamentem i nieustraszonością w obronie prawd rzucających się w oczy każdemu zdrowemu umysłowi, — ale, dopisek redakcyi zakreślił granicę naszemu uniesieniu; — powinniśmy bowiem baczyć, że socyalizm to nasz wróg najniebezpieczniejszy — o, gorszy niż hakatyzm, — i naturalnie dla tego całej mowy w tekście polskim nikt przeczytać nie mógł, chociaż według wiarogodnych zapewnień paru *prawowiernych katolików, nie było w niej nic, coby nasze ukochania* i wierzenia ilekolwiek zadrasnąć mogło, — i że na całą treść w niej zawartą każdy dobry Polak z sumieniem zgodzić się może.

Lecz *tu nie chodzi o to, co i jak się pisze i mówi, lecz tylko o osobę piszącego i mówiącego, aby osobistość występująca publicznie, nie była pod zarzutem, że myśli i czuje inaczej, a nie tak jak według przepisu myśleć i czuć się powinno. Z tego wynika, że my tu mamy inną swoją własną miarę do ocenienia talentów cnót i zasług wszelakich, a tak czasem samodzielną i oryginalną, że się niekiedy djametralnie rozchodzi z sądem reszty cywilizowanego świata.* Można było np. widzieć czarne na białem (choć maleńkiemi literami w dziale wiadomości potocznych, pewnego dziennika że *Tołstoj*, to bardzo mierny talent (sic!!) żadnego nie ma stylu i tak pisze jakby przekupki gwarzyły o plotkach (sic!). Powtarzając tedy sławetny pogląd jakiego

przedpotopowego pisma redakcya poznańska dopisała od siebie: „my w zupełności tę opinią podzielamy“...

Może wystąpienie moje w obronie zasad wolności myśli mylnie będzie przez zwolenników obskurantyzmu zrozumianem, i dostanie mi się nazwa socyalisty lub — o zgrozo! — „modernisty“. Wypada mi więc uspokoić Czytelników „Pracy“ zapewniając uroczyście, że żadna z wymienionych nazw do mnie się nie odnosi. — Wszelkie socyalistyczne programy zrównania ludzi, zniesienia klas i różnic istniejących, uważam za mrzonki nie do ziszczenia, bezsensowe i wogóle ludziom do szczęścia niepotrzebne; — ale *właśnie dla tego, wydaje mi się wprost dziecińtwem rzucać w popłoch społeczeństwo i niemi straszyć.* Wszakże takie programy istnieją od wieków w księgi ujęte (Fourier, Bastiat St.) Simon i t. d., a były, są i pozostaną martwą literą.

Co zaś do naszej Św. wiary i instytucyi rodziny, *to zaiste trzeba ogromnej naiwności, aby uczuwać obowiązek bronienia przed jaką bądź siłą tych rzeczy wielkich, świętych i tak potężnych podwalin ludzkości*, że wcale bez nich istniećby nie można. Toż skandynawski filozof Bjórusen, choć nie katolik, tak pisze o rodzinie. „Najwięcej wyrażające, najcenniejsze treścią wyrazy to: moja narzeczona, moja żona, moja matka, mój ojciec, moje dziecko. — Pozbawiony tych słów świat byłby legowiskiem, a ludzie zwierzętami dzikiemi.“ — Trzeba zatem wierzyć, że sama *godność człowiecza* rodzinę od zagłady uchroni — zrozumieć, że dziejami świata nie kieruje to lub owo zbiorowisko ludzi — ale wyższa siła Opatrznością zwana — i że ta Opatrzność — ten Bóg, to przecież *nie bożek pogański, któregoby lada* podmuch strącił z piedestalu, ale *Wielkość Wieczna i Wszechpotężna której my nic możemy nic ująć ani dodać* — kościół zaś jak wiemy „jest opoką, której bramy piekielne nie przemogą“, trwa jak widzimy lat tysiące, a przed jego wyobrazicielem, Ojcem św., monarchowie głowy chylą i kolana zginają. — śmiem więc twierdzić, że religia nasza nie wymaga tak pracowitych, skomplikowanych a często bezowocowych i *nawet szkodliwych zabiegów, jakie my tu w imię tej religii podejmujemy.* Przekonanie takie czerpię z przykazań boskich i nauk naszego Zbawiciela: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni“. Któż jest bez winy, aby kamieniem rzucić na grzesznika? Czyż takie słowa nie nawołują do pokory? Aby przez *miłość bliźniego* znaleźć w swem sercu wyrozumienie dla jego zdrożności karćmy z miłością i z wiara, że nasi bliźni częściej błądzą — niżli rozmyślnie źle postępują. — *Potępiajmy występki a nie ludzi!* Wtedy gniew nasz będzie sprawiedliwy, oburzenie szlachetnem — i nikt nie ośmieli się zastosować do nas słów Chrystusowych: „Ten lud mnie czci ustami, a serce jego dalekiem jest odemnie.“

K. M.

❦

Essen, dnia 22. lutego 1903.

Od czasu, gdy ruch wyborczy między rodakami na obczyźnie przybiera coraz znaczniejsze rozmiary, pojawiają się w niektórych organach prasy poznańskiej głosy, dające niejako pismom centrowym podnięte do zohydzania nas i unieważniania naszych miarodajnych instytucyi wyborczych.

Takim organem jest pomiędzy innemi i konserwatywny *„Kuryer Poznański.“* Nie możemy się absolutnie zgodzić na jego wywody, jakoby Polacy na zachodzie powinni głosować za centrowcami. Mało też nas obchodzi, że „Kuryer P.“ przerabia się raz tak, drugi raz inaczej, mając do dyspozycyi i kontusz i frak, zaznaczamy tylko, że sprawa narodowa, to nie prasowa. Na domiar złego zamieściła tutejsza „Volkszeitung“ (organ centrowy), opartą na „Kuryerze Poznańskim“ notatkę, jakoby Polacy właśnie teraz powinni skorzystać ze sposobności, i okazać wdzięczność przez czyn, oddając swe głosy Niemcom katolikom. Jakie to śmieszne!

Za co my właściwie mamy okazywać naszą wdzięczność centrowcom? Nie masz przecież dnia, w którym nie słyszeli byśmy skarg o krzywdach wyrządzanych rodakom naszym ze strony stronnictwa centrowego. W numerze sódmym „Pracy“ wykazaliśmy chyba dość dobitnie co nas boli, oraz dobrodziejstwa z rąk centrowców odebrane; a zatem kto dzisiaj radzi nam okazywać jakąś niezasłużoną wdzięczność dla Centrum, ten *chce pognębić naszą sprawę narodową, i niech nam będzie wolno powinszować powolności względem Niemców.*

Tutejsza „Volkszeitung“ pisze w końcu, że polscy posłowie interesują się bardzo tutejszemi okolicznościami i jeźli rodacy sobie tego życzą, przybędzie tutaj jeden z naszych posłów, aby publicznie objaśnić stosunki i wzmocnić związek z centrum. Brzmi to zresztą bardzo pięknie, tylko prosimy zmienić dwa słowa; t. j. zamiast jeden napisać *kilku*, a zamiast posłów —*księży*, i to na stałe, a przytem bronić dzielnie Polaków jako współwyznawców w sejmie i parlamencie, a związek sam ze siebie się wzmocni.

Dziwi nas mocno co spowodowało „Kuryera Pozn.“ do zabierania głosu w naszej sprawie, zwłaszcza, że go tu na obczyźnie nikt nie czyta: To też jeźli „Kuryer P.“ chce się szczerze zająć kwestyą wychódźtwa mianowicie dotyczącą wyborów, radzimy mu udać się z całem zaufaniem do centralnego komitetu wyborczego w Bochum, który lepiej od „Kuryera“ zna stósunki tutejsze, a zasięgnąwszy odpowiednich informacyi, przestanie bałamucić czytelników.

My zaś kochani rodacy na obczyźnie, widząc, że nawet we własnym obozie stawiane nam będą trudności, trzymajmy się tem energiczniej naszej solidarności narodowej, *wybierając jedynie swoich.* Chcąc istnieć nadal jako naród, żyjmy w zgodzie, jedności, wychowując przytem młodzież naszą na dobrych Polaków i katolików; nie nadymajmy się pychą, i nie dajmy się uwieść marnym pochlebstwom.

Niechaj także przyświeca nam wiara, nadzieja i miłość, a zatem wierzmy mocno i niezachwianie w przyszłość Ojczyzny i narodu, pokładajmy nadzieję naszą w sprawiedliwości Bożej i w sile własnej, pałajmy gorącą miłością do wszystkiego co polskie. A gdy tak postępować będziemy, to nietylko, że znikną zakusy wrogów naszych, nie tylko że psiarnia polakożerców nic nam szkodzić nie zdoła, ale choćby nawet i piekło całe przeciw nam się sprzysięgło, nie zginiemy.

Wyborczy komitet miejscowy w Essen.

Michał Skowroński.

❦

Kruszwica, d. 11-go marca 1903.

Smutną i nader wzruszającą uroczystość żałobną obchodziliśmy w dniu 8 bm. odprowadzając zwłoki ś. p. Adama Zalewskiego na wieczny odpoczynek.

Zmarły cieszył się tu ogólną miłością i przyjaźnią, całego miasta, gdyż uprzejmością swoją jak też miłem obejściem umiał sobie podbić serca wszystkich. To też udział w pogrzebie był tak ogromny, jakiego żeśmy od lat wielu nie widzieli. — Wszystkie stany i narodowości były reprezentowane.

Również miejscowe Towarzystwa wzięły czynny udział z sztandarami, i to Towarzystwo Przemysłowe, Towarzystwo Czeladz. Katolickiej, Towarzystwo śpiewu, wreszcie Towarzystwo straży ogniowej itd. itd. Trumna formalnie ginęła pod powodzią okazałych

przepysznych wieńców, przeważnie o wstęgach czerwono-białych.

Serdeczną przemową uczcił pamięć zmarłego przy grobie miejscowy proboszcz, J. W. ks. prałat Goebel, sławiąc cnoty i podnosząc pracowitość jego. Do głębi wzruszył obecnych śpiew, wykonany przez Kruszwickie Towarzystwo śpiewu, na cztery męzkie głosy. Głosy były tak harmonijnie dobrane, a całość z taką siłą i uczuciem oddaną, iż słuchacze od łez wstrzymać się nie mogli. Po skończonych ceremoniach spuszczono zwłoki do tymczasowego grobu, gdyż rodzina z wiosną rozpoczyna budowę grobowca familijnego.

Krótko przed śmiercią oddał nieboszczyk jeszcze sprawie polskiej wielką przysługę, gdyż przyczynił się do tego, że majątek należący do jego syna nie przeszedł w ręce niemieckie, lecz pozostał w rękach swoich.

Niechaj ta ziemia, którą śp. Adam tak gorąco ukochał, lekką mu będzie! R. i. p. *K. S.*



Krotoszyn, 22 lutego.

Podnosisz, kochana „Praco,“ z uznaniem i radością, że *list pasterski Najprzewielebniejszego Ks. Arcypasterza* wywarł wielkie wrażenie i my to przyznajemy. Na nabożeństwie, na którem nasz duszpasterz odczytywał tenże list, krotoszyńscy karciarze świecili nieobecnością, jakby z obawy, aby kto zwrokiem nie wskázał na nich.

Ks. Arcypasterz nawoluje wszystkie stany do popierania Go w Jego wzniosłym celu. Weźmy się więc wszyscy i utwórzmy w każdem mieście, w każdej parafii towarzystwo antyhazardowe. Ale nie ograniczajmy się na groźbie; za każdym razem wymieńmy nazwisko i stan karciarza, knajpę, hotel przetrzymujący tę hałastrę, tych włóczęgów nocnych, a sądzę, że to jedynie położy kres tej zbrodniczej hulance. Powie może kto, że to niepotrzebne, że po liście pasterskim zmieni się na lepsze. Jednakże karciarze, co z wytartem czołem czyhają na ostatni grosz bliźniego, jakby ze wszystkiego szydzili, bo jak grali zapamiętale, tak grają dalej. Można im przypomnieć, że grosz w ten sposób zdobyty, nie przyniesie im szczęścia, raczej niebłogosławieństwo, prześladować będzie ich i dzieci w daleką przyszłość. Kupców graczy, a przedewszystkiem jednego, którego tymczasem o tyle oszczędzę, że nazwiska jego nie wymienię, upominam, że zabojkotujemy was; dalej jednemu, którego każden z dziecka zna, radzę porzucić jak najprędzej to nieszczęsne rzemiosło, które obok urzędu swego uprawia, bo są środki na wytrącenie mu kart z ręki.

Jeszcze o innych osobach zamiejscowych wypadłoby mi wspomnieć, lecz dosyć na teraz. Wszystkim zaś tym zacietrzewionym i obłąkanym, którzy zgrywają się, radzę wziąść rozbrat z kartami raz na zawsze, bo niechaj nie łudzą się nadzieją odegrania. Kto się odgrywa — przegrywa.

Upamiętajcie się, nawróćcie z tej złej drogi, a żaden wróg nie pokona nas i będziemy mogli śmiało spojrzeć w przyszłość.

N. N.



Wągrowiec, dnia 17 lutego.

Swój do swego! wołają gazety i nie przestają powtarzać a przecież tylu a tylu zawsze jeszcze zanosi pieniądze do naszych wrogów, którzy *naśmiewają się z Polaków*. Mamy właśnie wymowny przykład tego. W berlińskiej gazecie zegarmistrzowskiej z dnia 15 bm. (Deutsche Uhrmacher Zeitung. Organ des Deutschen Uhrmacher Bundes) znajduję list pewnego Polaka do zegarmistrza Niemca, który zgarnąwszy polskie pieniądze w kieszeń nie miał nic lepszego jak list swego klienta posłać do gazety berlińskiej i zrobić z niego przedmiot urągowiska. List ten brzmi:

Her Uhrmaher K. ih bite in saise so gut und geben si diese uhre das ist der Man was hat mier diese Zetel ferlor ih habe selbst die Uhre zum reperatur abgegeben und ih kan diese Wohe nah G.... nih komm und die uhre sol diestag fertig seien und 4 M. sol kosten jetz komt der Man selbst weil er Sonnabend nah hause faren wiel mit Ahtung Kutscher M. H.

Klekotek.

„Uhrmacherzeitung“ naśmiewając się z tego pisma, pisze, że *„bardzo często“* niemieccy zegarmistrze z kresów wschodnich nadsełają jej podobne pisma od klientów, z których tylko czasem robi użytek „dla rozweselenia czytelników.“

Tak więc p. Klekotek, popierając Niemców, doczekał się tego, że go — *wyśmiali*. Nikt z Polaków nie będzie go żałować.

Może ci niepoprawni, którzy zawsze jeszcze wspomagają wrogów naszych, zastanowią się nad tym faktem i poczną nareszcie omijać składy niemieckie. Jeżeli nie — niechaj wiedzą, że rodacy będą ich wytykali palcami, a Niemcy, odebrawszy im grosze, będą się z nich naigrawać.

S. Ł

***Blumenthal w Hanowerze*, 5 marca.**

Kochana „Praco!“

Nadsełam Wam sprawozdanie naszego Towarzystwa „Nadzieja.“

Sprawozdanie z d. 22 lutego 1903 r. Tow. polsko katolick. „Nadzieja“ pod opieką św. Stanisława biskupa w Blumenthalu. Towarzystwo liczyło na początku drugiego półrocza z. r. 35 członków; wstąpiło potem 17 nowych członków, zatem liczba ich wynosiła 52. Z tej liczby wystąpiło z powodu zmiany pracy 10, do wojska zaciągnięto 2 tak, iż czynnych członków Tow. liczy 40. Zebrań odbyło się 12, a w tej liczbie jedno nadzwyczajne. W półroczu było 3 członków chorych, którym udzielono zapomogę po 5 marek. Tow. miało dochodu w wzmiankowanem półroczu 394,20 m., rozchodu 256,29 m., zatem pozostaje w kasie 137,91 marek. W bibliotece posiada Tow. 38 książek własnych i 154 z Czytelni ludowej, nadto posiada Tow. 2 sztandary z przyborami oraz inne sprzęty i kilka obrazów.

Tow. abonuje „Pracę“ i „Górnoślązaka.“ Z gazet i książek korzystało 50 członków. Tow. urządziło „Gwiazdkę.“ Ksiądz Polak odwiedził nas raz jeden. Zebrania Tow. odbywały się co dwa tygodnie. Świeżo przystąpiło do Tow. 4 nowych członków, więc obecnie liczy ono 44 członków. Zarząd stanowią następujący panowie: Jan Kołeczko, prezes; Michał Schmiegel, zastępca; Wincenty Tuszkowski, sekretarz; zastępca Józef Chmielowski; skarbnik Antoni Nikel; zastępca Władysław Jasik; bibliotekarz Józef Paduch; zastępca Jan Jass; chorąży kościelny, Augustyn Morawiec; asystenci: Ludwik Plewa i Jan Hoinka; chorąży po za kościołem: Józef Chmielewski; asystenci: Maciej Wojciechowski i Józef Nowotny; rewizorowie kasy: Wawrzyn Hauffa i Józef Żurek.

Zarząd

Jan Kołeczko, prezes. Wincenty Tuszkowski, sekretarz.

— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“





Ciężki termin.

Malował L. Knaus.

DRUKIEM „PRACY."

Dział illustrowany.



Ś. p.

Fr. Wł. Rieger.

Czechy okryła żałoba! Nad Wełtawą zamknął dnia 3-go b. m. powieki Franciszek Władysław Rieger, wielki patryota czeski, weteran służby narodowej, który uosabiał półwiekową z okładem politykę pobratymczego narodu, składając mu w dani swych głębokich myśli przędzę i swych niezmiernych uczuć kwiaty. Wódz t. zw. Staroczechów, pozostał do grobowej deski wiernym swym narodowym przekonaniom, nie hołdował nigdy oportunizmowi i nie znał w polityce kompromisów. Zaprawiona panslawizmem fala Młodoczeska usunęła Riegera z szerszej widowni politycznej, a 85 letni starzec po dwudniowej zaledwie chorobie, zeszedł z widowni życia.

Nie pora pod świeżem wrażeniem zgonu wielkiego parlamentarzysty, wydawać sądu o tej wybitnej indywidualności, o jego działalności politycznej i parlamentarnej i wpływie, jaki wywarł na swoim narodzie — Riegera osądzi historya. Teraz zaznaczymy tylko pokrótce koleje tego, pełnego pracy niespożytej i zasług żywota.

Dr. Fr. Wł. Rieger urodził się 10 grudnia 1818 r. w Semilu, w Czechach, w okręgu Giezyńskim. Po złożeniu matury poświęcił się studyom prawnym i początkowo pełnił obowiązki sędziego, które jednak porzucił wskutek politycznego procesu w r. 1848.

Proces ten po raz pierwszy uczynił jego nazwisko głośnem i dzięki niemu wybrano Riegera do t. zw. narodowej komisyi. Wybrany z 7 okręgów do parlamentu austryackiego — okazał w nim Rieger swe niepospolite zdolności i wybił się na przywódzcę słowiańskiego stronnictwa. W tych czasach odbył liczne podróże; po powrocie pracował z zapałem na niwie literackiej i między innemi napisał po francuzku książkę p. t.: „Les Slaves d'Autriche“ (1860). Prawdziwym wypadkiem w czeskim świecie literackim stało się powołanie przezeń (do spółki z Koberem) do życia wydawnictwa czeskiej „Encyklopedyi narodowej“ (Słownik nauczny). Wydawnictwo to (1859—1874) cieszy się dotychczas olbrzymią poczytnością.

Po ogłoszeniu przez hr. A. Gołuchowskiego (ojca dzisiejszego ministra) dyplomu październikowego, w r. 1860 — nastąpiło oficyalne ukonstytuowanie się czeskiej partyi narodowej, na której czele stanęli: Rieger wraz z swym teściem Palackym. Gdy w r. 1863 Czesi uchwalili za pobudką Riegera nie obsyłać więcej Rady państwa — ten rozwinął społem z feudalistami agitacyę za przywróceniem samodzielności korony św. Wacława. W r. 1871 obejmuje Rieger za czasów Hohenwartha ster rokowań z tymże premierem w kierunku uzyskania federalistycznego przeobrażenia Austryi



Śp. Fr. Wł. Rieger.

oraz rekonstrukcyi królestwa Czech. Rokowania te spełzły na niczem.

Z chwilą, gdy Czesi w r. 1878 powrócili do Sejmu, a w rok później (już za Taaffego) do parlamentu — Rieger stanął w rzędzie przywódców federalistycznej, ale rządowi przychylnej większości, oraz objął buławę stronnictwa staroczeskiego. W r. 1888 obchodzili Czesi 70 urodziny Riegera, obdarzając go narodowym podarkiem w sumie 100,000 zł.

Od tego czasu, gdy Młodoczesi wystąpili na szerszą widownię, zaczyna blednąć gwiazda Riegera.

Młodoczesi zarzucali Riegerowi kapitulacyę przed rządem i jego konserwatywnymi sojusznikami, poparcie klerykalnego wniosku szkolnego ks. Lichtensteina, zgodzenie się na sojusz Austryi z Niemcami, wreszcie niezłomne hołdowanie zasadzie narodowej w tem znaczeniu, iż bezwzględnie odrzucał panslawistyczne dążenia, które zaczęły brać górę. Wpływ Riegera zmalał znacznie, zwłaszcza po wyborach sejmowych w r. 1889. Przy wyborach do Rady państwa w r. 1891 utracił Rieger (wraz z innymi Staroczechami) mandat. W kilka lat później mianował go cesarz członkiem austr. Izby panów.

W stosunku do Riegera — Młodoczesi mają niejeden grzech na sumieniu, dziś zwłaszcza, gdy nowa fala o radykalniejszem zabarwieniu przekształca zwolna Młodoczechów z czasów Riegera na „młodych Staroczechów“ — niejeden z dawniejszych przeciwników Riegera z żalem uzna bezwzględność, z jaką strącono z piedestalu zasłużonego dla Czechów polityka, który zawsze niósł wysoko sztandar narodowy. Rieger był szczerym przyjacielem Polaków i liczne dał tego dowody.

Cześć jego pamięci!

S. P.

Z ojczystych stron.

Okolice Warszawy.

(Do illustracyi.)

Kiedy nadejdzie pora majowa, pójdziem na odpust do Czerniakowa... powtarzał ongi za poetą przeciętny Warszawiak, w porze, gdy ukazała się zieleń, żaby zarechotały w stawach i sadzawkach, kukułka zakukała, a słowik rozpoczął w zaroślach swe trele. Oczywiście, że „przeciętny Warszawiak“ w murach miejskich tego hymnu wiosny nie słyszał, ale całą duszą pragnął być świadkiem radującej się z obudzenia po śnie zimowym, przyrody.

Kto żyw tedy, a czuł zdrowe nogi, wyrywał się z miasta na pola i lasy. Ogrody: Krasińskich i Saski jako miejsca przechadzki zadawalały tylko emerytów lub... filistrów. Nawet Botanika i Łazienki nie zaspakajały pragnień tych, których wzrok żądny był szerokich widoków, a pierś głębszego odetchnięcia. Ztąd całkiem naturalne pragnienie wyruszenia za miasto, a poetyczne dusze wołały z Polem:

W górę, w górę miły bracie.
Tam swoboda czeka na cię...

Wprawdzie okolice Warszawy gór nie mają, falistych brzegów Wi-

sły jest mniej niż skromnie, bo górka Polkowa z eremem OO. Kamedułów i laskiem bielańskim stanowią najwydatniejszą wyniosłość — lecz każdy zakątek ziemi w krasie majowej, byleby miał trochę zieleni i wody, zawsze bywa piękny. Warszawianie tedy dla wycieczek podmiejskich inaczej „majówkami" zwanych, posiadali wielce urozmaicony wybór.

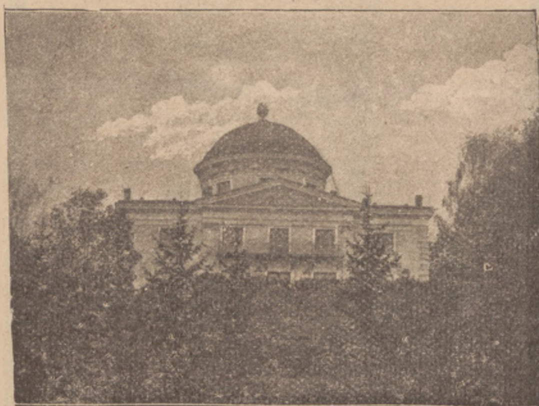
Uprzytomnijmy sobie treściwie te ulubione i niekiedy bardzo modne punkty wycieczek w ciągu zeszłego stulecia. Mokotów ,Królikarnia, Wierzbno i park Sielecki — oto najbliższe miejscowości. Dziś to już przedmieścia, połączone ze śródmieściem tramwajami i kolejkami, ale dawniej stanowiły punkty całodziennych majówek. Czerniaków uważał się za wieś odleglejszą. Kościół OO. Bernardynów z relikwiami św. Bonifacego i z odpustem w maju był celem pobożnych pielgrzymek w połączeniu z wiosenną wycieczką. Św. Bonifacy jest patronem rachmistrzów i kasyerów. Ztąd urzędnicy wszelakich dekasteryi, a zwłaszcza b. komisyi przychodów i skarbu urządzali zbiorowe wycieczki do Czerniakowa. Ranek poświęcano nabożeństwu, a resztę dnia rozrywkom na wolnem powietrzu o ile rozumie się, pogoda dopisała. Wracano per pedes (pieszo) późnym wieczorem ze śpiewem chóralnym.

Wilanów, Natolin i Morysinek — to już była formalna wyprawa, na którą tylko bardzo młodzi ważyli się puszczać według żartobliwego makaronicznego przysłowia: „qui kobyłkam non habet, piechotare debet." Zazwyczaj przecie wynajmowano omnibusy pocztowe, lub, co się najczęściej praktykowało, wozy drabiniaste u włościan okolicznych, ciągnących z tego procederu od Warszawian duże korzyści. Uprzejmi właściciele Wilanowa nikomu nie bronili roztasowywać się w parku nad łachą, naturalnie pod warunkiem przyzwoitej zabawy. Zwiedzanie pałacu z pamiątkami po „królu Sobku" przejażdżki łódkami lub promem po łasze, różne gry towarzyskie na łące wypełniały dzień cały, a niekiedy i noc spędzano na tańcach w obszernych izbach wilanowskiej karczmy, oberżą *vel* austeryą przed laty zwanej.



Służew pod Warszawą.

Saska Kępa, ulubione miejsce wycieczek za obu Augustów Sasów i za Stanisława Poniatowskiego i w zeszłem stuleciu przez długi okres czasu była w modzie. Któż ze starszego pokolenia nie pamięta owych kolonii z zakładami restauracyjnemi, noszących godła: pod Dębem, pod Syreną, pod Łabędziem, Kotwicą i t. p.? W niedziele i święta roiła się Saska Kępa od ludu warsztatowego, w dnie powszednie urządzała tam wycieczki „śmietanka towarzyska." Lecz tak maluczkim, jak i marnym tego świata, przygrywała zazwyczaj jedna i ta sama kapela: kilku żydków niemiłosiernie fałszujących. Do urozmaicenia pobytu na Kępie przyczyniali się akrobaci wędrowni, typowy Niemiec z pudlem, małpą i katarynką, magik żyd Gecel, wreszcie owa moc przekupniów, również żydów, z koszami karmelków, o które się grało „w cetno, licho." Saska Kępa od lat kilku wyszła z mody i rzadko tam skierowują, się zbiorowe wycieczki.



Królikarnia pod Warszawą.

Natomiast stała się modną Jabłonna, niegdyś siedziba księcia Józefa Poniatowskiego. Właściwie piękna ta z powodu obfitości lasów miejscowość miała zawsze licznych zwolenników, zwłaszcza w początkach zeszłego wieku za czasów pruskich i księstwa Warszawskiego. Towarzystwo z pałacu „pod Blachą" w porze letniej jeździło chętnie do Jabłonny, gdzie jak tam, tak i tu królował książę Pepi i... pani de Vauban.

Bielany bez przerwy od stu lat są ulubionym punktem wycieczek warszawskich, szczególniej w porze Zielonych Świątek. Tylko lasek Bielański chętnie przez sfery towarzyskie dawniej odwiedzany, ostatniemi czasy zupełnie się zdemokratyzował. Majówki do Słodowca, Marymontu, Rudy Mintra i Ewansa, wreszcie za Wisłę do Rembertowa i Miłosnej zupełnie wyszły z mody, odkąd koleje i kolejki łącznie z rozpowszechnieniem letnich mieszkań nie zwróciły Warszawian w dalsze strony. Zresztą charakter dawniejszych wycieczek uległ radykalnej zmianie. Dzisiejsze wycieczki są albo korporacyjne, jak np.: wioślarzy, cyklistów, subjektów handlowych i t. p., albo kilka czy kilkanaście osób udaje się na kilkogodzinną przejażdżkę do miejscowości, gdzie jest restauracya i gdzie wszelkie solida i fluida na miejscu dostanie. Wreszcie jedzie się do znajomych letników, którzy gości nakarmią i napoją. Ongi przed laty było inaczej. Panie: Janowa, Grzegorzowa, Stanisławowa i inne napiekły ciast, przyrządziły pieczeni i kurcząt, zabrały samowary, a małżonkowie ich przygotowali napitki. Młodzież kawalerska pomyślała o cukrach, lodach i furmankach. Ot! i zbiorowemi siłami wycieczka gotowa. Tańce, gry towarzyskie, czułe nadskakiwanie, swobodniejsze sub Jove niż w salonie damom (dziś to się nazywa flirtem) wypełniały dzionek majowy, spędzony za miastem i pozostawiały wśród uczestników miłe często wrażenie oraz gorącą chęć powtórzenia wycieczki. Staruszki — matrony współczesne utrzymują, że te dawniejsze wycieczki kojarzyły więcej par małżeńskich niż karnawał, ów jarmark matrymonialny. I mają słuszność. Wiosna, maj, woń bzów, śpiew słowika to wszystko podnosi i potęguje... czułość. Wszak imci Zagłoba powiada: że wiosenna aura taką lubość budzi, że nawet wiór do wióra skłonność czuje.

Z. W.



Kościół św. Bonifacego w Czerniakowie pod Warszawą,

SNY.

I.

Litosna niebios to dziatwa,
Płochy aniołków ten rój,
Co z cicha schodzą na ziemię,
By słodzić troskę i znój.

Mkną — senne niosąc makówki,
I snopy fiołków i róż,

I plony z krain bajecznych,
I tęcz uśmiechy i zórz.

Gdzie serca jadem zatrute,
Gdzie bólem życia wre skroń,
Tam — niosąc duszy pociechę —
Sieje niepamięć ich dłoń.

Błogosławionem ich kłamstwem
Cień ostry mieni się w kwiat,
I w kraśne tęcze ułudy
Przystraja szary ten świat.

Ból ich szalbierstwem odtruty
Ociera z oczu swych łzy,
Ukołysany, jak dziecko,
W spokój — i w ciszę — i w sny!...

II.

Ale biada temu, biada,
Kto uwierzy w kłamny cud,
I na jawie zechce gonić
Płochą marę sennych złud.

Temu w zawód przedzieczeje
Wymarzony szczęścia kwiat,
Cień swój topiąc w pierś bezbronną —
W ufne serce sącząc jad.

Zmierzchną tęcze w jego oczach,
Zgasną świty kłamnych zórz
I pogrążą go w ciemności,
Skoro zadmą wichry burz.

Pierzchnie wdzięczny cud ułudy,
Sen o szczęściu pierzchnie w dal,
I sierocą myśl spowije
Grubszy mrok i cięższy żal!

III.

A jednak — jednak bywajcie!
Bywajcie płoche aniołki,
I stròjcie szarą tę ziemię
W ułudne róże i fiołki!

Sypie na świata rozłogi
Makowe ziarnka i puchy,
Darząc tych, którzy boleją,
Chociażby cieniem otuchy.

Niech chłodzą skroń pałającą
Skrzydełka wasze motyle,
By serca bólem zatrute
Mogły zapomnieć — na chwilę!

Cóż, że ta, którą niesiecie,
Pociecha, krótką i złudną?
Bywajcie, mali szalbierze!
Bez was żyć byłoby trudno!

Włodzimierz Zagórski.





Pałacyk Myśliwski w Morysinku pod Warszawą.

Z chwili.

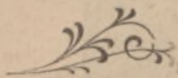
(Do illustracyi.)

Rada miejska poznańska na nadzwyczajnem posiedzeniu dokonała dnia 23-go z. m. wyboru głowy miasta. — Stawili się wszyscy radni w liczbie sześćdziesięciu, w tem 14 Polaków. Oddano głosów 60, z tych otrzymał radzca miejski p. dr. Wilms z Dyseldorfu 42, p. Küntzer, wiceburmistrz poznański, 18 głosów. Pana dr Wilmsa wybrano zatem na 12 lat i będzie nadburmistrzem poznańskim, jeżeli zostanie potwierdzonym przez rejencyę. Za panem dr. Wilmsem głosowali wolnomyślni, za p. Künzerem konserwatyści. Rozstrzygali Polacy, mimo że z rejencyi wyszło hasło: *Niech będzie nadburmistrzem ktobądź, byle Polacy nie rozstrzygali!*



Dr. Wilms, nadburmistrz miasta Poznania.

P. dr. Wilms jest katolikiem, liczy lat 37, a jest bardzo zamożnym. Upatrzyli go sobie przywódzcy tutejszych radnych wolnomyślnych podczas wystawy w Dyseldorfie, którą on głównie urządził. *—ski.*



Panna Antonina Podgórska.

(Do illustracyi)

Zbliża się koniec sezonu a z nim okres benefisów.

Pierwszym w tym szeregu będzie spektakl na dochód heroiny teatru poznańskiego, panny Antoniny Podgórskiej.

W ciągu ostatnich dwóch sezonów, w czasie których beneficyantka pracuje u nas, Poznań zżył się z utalentowaną i sympatyczną artystką, która stanowi główny filar naszej sceny. Chociaż przy nieustannej zmianie repertuaru jedna premiera goni drugą i panna P. wcielać się musi w coraz to nowe i inne postacie — dziś zalotnej damy, jutro posępnej królowej — nigdy nie zawodzi ona naszych oczekiwań, zawsze wywięzuje się z swego zadania zaszczytnie. I tak panna Pod. wkradła się w łaski publiczności poznańskiej, podbiła ją i pozyskała szczery poklask znawców. Wszyscy cenimy wysoko jej sumienną pracę, jej rutynę, jej inteligencyę sceniczną i niewątpliwy talent, który pozwala wróżyć jej znakomitą karyerę. Wszyscy żywimy dla niej wdzięczność za tyle a tyle miłych chwil, jakie zgotowała nam w naszym teatrze.

Szczególnie żywo zapisała się panna Podgórska w pamięci jako „szalona“



Antonina Podgórska.

Julka w komedyi Kisielewskiego „W sieci“, w której cały jej talent i erudycya sceniczna uwydatniły się w pełnym blasku. Takiej kreacyi Julki mogłoby pozazdrościć pannie Podgórskiej wiele artystek; wzniosła się bowiem w dziedzinę artyzmu, odsłoniła nam coś z swej własnej duszy i nie grała Julki, lecz była nią.

A świeżo podziwialiśmy ją w roli królowej Elżbiety w „Maryi Stuart“ przy boku Modrzejewskiej, dalej w najeżonej trudnościami roli Magdy w „Gnieździe rodzinnem“ i przy tej sposobności mogliśmy znowu stwierdzić jak bardzo wysoko zaszła już panna Podgórska w swym artystycznym rozwoju oraz

serdecznie przyklasnąć tak dobrze pojętej i przeprowadzonej z przejęciem kreacyi.

Obecnie mamy sposobność dać wyraz wdzięczności za tyle biesiad artystycznych, jakie zawdzięczamy pannie Podgórskiej, przez liczne stawienie się na wieczór benefisowy.

Zarazem zapoznamy się z głośną sztuką Stanisława Przybyszewskiego, która grana na wszystkich scenach polskich, trwałe robiła wrażenie — komedyą „Złote runo.“ Można przeto przewidzieć, że teatr wypełni się po brzegi i zasłużona owacya spotka naszą tak wybitną i tak powszechnie ulubioną artystkę.

R. R.



Zabòjstwo carewicza Aleksego Piotrowicza*)

26-go czerwca 1718-go r.

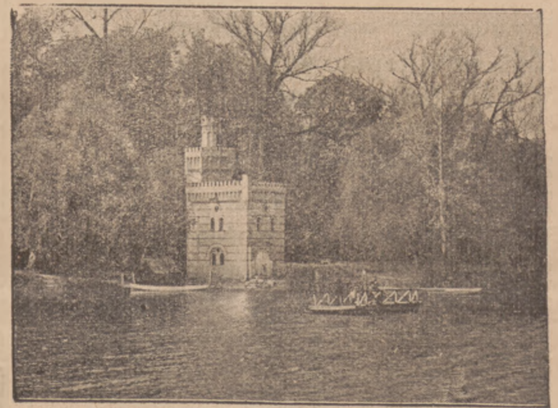
Jest wiele bardzo ciekawych podań o tragicznej śmierci moskiewskich carów, lecz podania te są tak poplątane wymysłami różnego rodzaju, iż trudno odróżnić prawdę od wymysłu. Zajmując się niegdyś historyą moskiewską i krytyką historycznych faktów ostatnich czasów, musiałem przeczytać mnóstwo dzieł, kronik i sprawozdań naocznych świadków. Korzystając z tej pracy mogę opisać ziomkom moim to *memento mori* dla panujących, które rzuca oprócz tego światło na charakter moskiewskiego ludu i różnych klas społeczeństwa w Moskwie. Zacznę więc opowiadanie od śmierci syna Pawła I., carewicza Aleksego Piotrowicza, opierając się na podaniach naocznego świadka, Aleksandra Rumiańcowa.

*) W następnych numerach zamieścimy zabójstwa: cara Piotra III-go 1762 r., carewicza Iwana 1764 r., Elżbiety Aleksiewny żony Piotra I-go 1776 r., oraz cara Pawła I-go 1801 r.— Przyp. Redakcyi.

Carewicz Aleksy, nienawidząc zmiany, które ojciec jego wprowadzał w kraju, nielubiąc i lękając się gwałtownego swego rodzica, uciekł do krewnego swego Karola VI., cesarza rzymskiego. Wskutek nalegania Piotra, Karol VI., nie chcąc kłócić się z dworem moskiewskim, namówił carewicza wrócić do ojczyzny, tem więcej, że Piotr najsolenniej własnoręcznym listem zapewnił, że nic mu się nie stanie. Po przyjeździe do Petersburga czas niejaki żył on pod dozorem w własnym pałacu z żoną Natalią i synem Piotrem. Wkrótce jednak odkryto korespondencyę, zaszytą w odzieniu przybliżonych do carewicza osób, z której dowiedziano się, że carewicz nie przestaje konspirować przeciw ojcu swemu. Rozgniewany Piotr rozkazał posadzić carewicza pod strażą w petersburskiej fortecy, a wszystkich dworzan oprócz kucharza i kamerdynera oddalić od niego. Zwołano potem znakomite osoby stanu duchownego, wojskowego i cywilnego do Petersburga, i kazano im sądzić winnego carewicza.

Wkrótce z Moskwy przybyły rzeczy Aleksego, a z niemi kochanka jego, Czuchonka Afrosinia, która nietylko świadczyła przeciw carewiczowi, lecz wydała jego korespondencye z archirejami Krutickim i Rustowskim i z kilku senatorami. W tych listach prosił ich carewicz o pomoc słowem i uczynkiem na wypadek, gdyby przyszedł z Austryi z wojskiem i chciał owładnąć ojcowskim tronem. Wszystkie te osoby natychmiast zostały aresztowane i oddane pod sąd, a dziewczynie za donos darowano życie. Car miłościwie rozkazał ją tylko wysłać do monasteru na rekolekcye do końca życia. Dziewczyna ta była wysokiego wzrostu, dzióbata, z grubemi ustami i z rudemi włosami, tak że wszyscy dziwili się, jak mógł carewicz kochać taką obrzydliwą Czuchonkę i powierzać jej swoje tajemnice.

Gdy się zjechali sędziowie Piotr rozkazał im sądzić Aleksego nie jak carskiego syna, lecz jak poddanego, dozwalając go wzywać przed sąd i dopytywać na torturach. Wkrótce potem dwaj pomocnicy carewicza Abraham Łopuchin i protopop Jakób

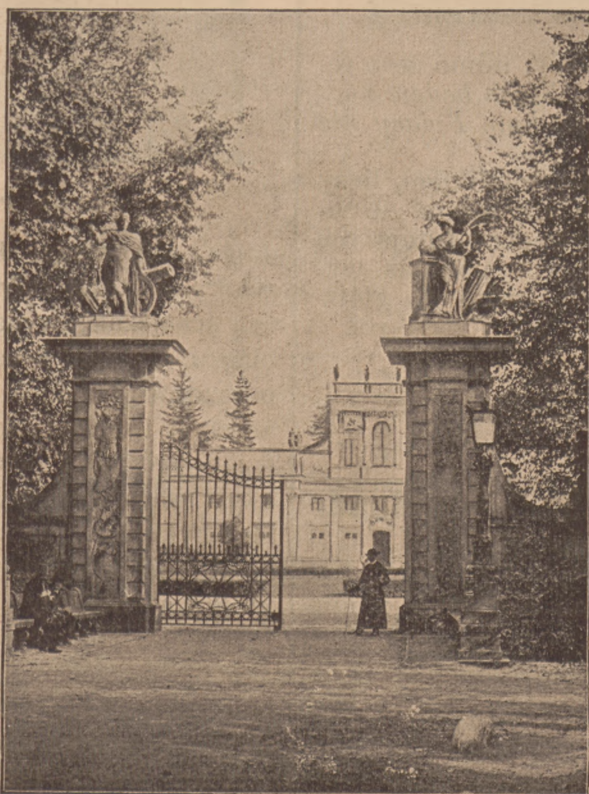


Z okolic Warszawy: Wodociąg w Wilanowie.

Ignatjew, będąc oddani na męki, przyznali się do wszystkiego i skazani byli na śmierć. Ostatni z nich przyznał się, że na spowiedzi carewicz mu wyznał: „ojcze obwiniam siebie, iż życzę śmierci memu rodzicowi,‘‘ że mu na to odpowiedział: „my wszyscy tego życzymy‘‘ — że dał komunię carewiczowi, i że od tego czasu został ulubionym jego doradcą.

Tak więc sędziowie po długiem śledztwie obwinili carewicza, i za zdradę skazali go na śmierć, opierając się na piśmie św. i na ustawach państwa. Miejsca biblii, które zastosowali w tym wypadku, były następne: „Ten, kto złorzeczy ojcu lub matce swojej, śmiercią niech umrze.‘‘ (Lewit. 20. i Mat. 15); „złorzeczący na ojca i matkę swoją, gasi lampę życia swego.‘‘ (Przyp. Salomona 20.) „Jeżeli kto przeciw zdrowiu cesarza zamyśla co złego i odkryje się, że on przeciw cesarza chciał działać, takiego śmiercią karać.‘‘ (Ułoženije R. II. § 1).

Wyrok ten przedstawiono carowi do potwierdzenia, od duchownych oddzielnie i od świeckich oddzielnie, po-



Z okolic Warszawy: Główne wejście do parku Wilanowskiego.

tem każdego z sędziów wzywano po jednemu przed zebranie senatu i ministrów, żeby głośno objawili zdanie swoje, i wszyscy powiedzieli: „winowajca carewicz zasłużył na śmierć.“ Wtedy zebrali się wszyscy razem i podpisali wyrok, w którym było powiedziano, że chociaż z woli cara to zdanie objawiają z tak czystem sumieniem, jak przed strasznym, sprawiedliwym i bezwzględnym sądem Wszechmocnego Boga, jednak zatwierdzenie wyroku oddają na wolę i miłosierdzie cara, najmiłościwszego monarchy. Ponieważ carewicz był chory, więc go do sądu nie wzywano; ale do fortecy pojechali ks. Mieńszczyków, kanclerz Gołowkin, tajny sowietnik Piotr Tołstoj i Rumiańcow, i wyrok mu przeczytali.

Gdy carewicz usłyszał o osądzeniu go na śmierć, zbladł i zachwiał się tak, że Rumiańcow z Tołstojem musieli go podtrzymać. Położywszy go do łóżka i rozkazawszy sługom i doktorowi pielęgnować carewicza, powrócili wszyscy do pałacu z raportem, że carewicz wyrok wysłuchał, i tutaj Tołstoj, Rumiańcow, jenerał porucznik Buturlin i lejb-gwardyi major Uszaków, otrzymali rozkaz przyjechania do pałacu o pierwszej godzinie po północy.

Gdy się wszyscy zjechali, dyżurny szambelan wprowadził ich do wewnętrznej sali, gdzie się już znajdował car, caryca Katarzyna Aleksiejówna, Troicki archimandryta Fiedorij, którego car bardzo szanował jako duchowną osobę i rozumnego człowieka. Gdy powiedziano carowi, iż się już wszyscy zebrali, postąpił do Fiedorija i prosił go o błogosławieństwo; na co ten odpowiedział: „carze miłościwy! pomyśl, żebyś nie żałował.“ Piotr na to odpowiedział: „Miara grzechów jego przepełniła się, wszelkie miłosierdzie od tej godziny będzie naszym ciężkim grzechem, za który przyjdzie odpowiedzieć przed Bogiem i przed sławnem państwem mojem. Błogosław mnie ojcze na powinność, ciężką rodzicielskiemu sercu memu, i proś Boga, żeby przebaczył mnie moje przestępstwo.“ Wtedy Fiedorij podniósł ręce, pobłogosławił cara i powiedział: „niech się stanie wola twoja najjaśniejszy panie, rób tak, jak ci wskaże widzący serce twoje Bóg!“

Po otrzymaniu błogosławieństwa car zbliżył się do zebranych w sali i nie wiedzących, po co są przywołani, i odezwał się do nich w następne słowa: „Słudzy moi wierni, w wielu wypadkach wypróbowani! Nastąpiła godzina spełnienia wielkiej usługi dla mnie i dla państwa. Szkodliwy Aleksy, którego wstydzę się nazywać synem i carewiczem, zapomniawszy przysięgi danej przed Bogiem, ukrył większą część swoich przestępstw i swoich wspólników, mając nadzieję, że gdy drugi raz targnie się na tron nasz, oni mogą mu się przydać. Sprawiedliwie oburzeni za takie naruszenie przysięgi, rozkazaliśmy go sądzić, i sąd odkrył takie występki, które nam i na myśl przyjść nie mogły. Sąd ten, jak i wy wiecie, opierając się na cywilnem prawie i na piśmie świętem, uznał carewicza godnym kary śmierci. Wszystkim wiadoma cierpliwość nasza i nasza słabość ku niemu do ostatniej chwili, bo już od dawna zasłużył na karę. Jako człowiek i ojciec, żałuję go i dzisiaj serdecznie, lecz jako sprawiedliwy car nie mogę ścierpieć nowego naruszenia przysięgi, nowej zdrady, bo za wszystkie nieszczęścia pochodzące ze słabości serca, będę musiał odpowiadać przed Bogiem, który mnie pomazał i na tron rosyjskiego państwa posadził. Dlatego też słudzy moi wierni, idźcie prędzej do łoża przestępnego Aleksego i ukarzcie go śmiercią, jak należy karać zdrajcę cara i ojczyzny. Nie chcę hańbić krwi carskiej publiczną karą, lecz się to stanie tak cicho i tajemnie, jak gdyby on umarł zwykłą śmiercią. Idźcie i wypełnijcie ten rozkaz, bo tak chce wasz prawy car i rozkazuje Bóg, w którego ręku wszyscy jesteśmy.

Powiedziawszy to Piotr, skłonił głowę ze smutkiem; natychmiast podeszła do niego caryca i archimandryta Fiedorij i zaczęli pocieszać i łagodzić jego zmartwienie.

Posłowie po wyjściu z pałacu udali się do fortecy. Gdy przyszli do wielkich sieni, Uszaków jako dyżurny naczelnik pałacowej straży, kazał żołnierzowi stojącemu na warcie przejść do zewnętrznych drzwi, dlatego niby, żeby szczęk broni nie niepokoił chorego carewicza. Potem Tołstoj wszedł do pokoju, gdzie spali kamerdyner i kucharz carewicza; obudziwszy posłał ich do kolegii, niby do dania jakichś objaśnień, posławszy osobno rozkaz, żeby ich tam przytrzymano aż do otrzymania nowego rozkazu. I tak w całym domu pozostało czterech wysłanych oprawców i carewicz śpiący; wszystko to było spełnione tak ostrożnie, że carewicz nawet usłyszeć nic nie mógł. Wtedy to weszli cicho w ciemne pokoje i z ostrożnością otworzyli drzwi sypialni carewicza, która była zaledwie oświecona lampeczką, palącą się przed obrazem. Carewicz spał, w nieładzie rozrzucił odzienie i pokrycie, i jakby strasznym snem strapiony jęczał. Był też on bardzo chory, lecz po przyjęciu komunii, żeby nie umrzeć bez religijnej pociechy, zdrowie jego się polepszyło tak, że według zdania lekarzy wielka była nadzieja wyzdrowienia. Nikt z początku nie chciał go budzić i posłannicy zaczęli radzić się, czy nie lepiej pozbawić go życia we śnie, żeby go wybawić od okropności chwil ostatnich. Lecz, jak pisze Rumiańców: „sumienie powiedziało nam: niech nie umrze bez modlitwy.“

Wtedy to Tołstoj, nabrawszy odwagi, poszedł do śpiącego i rozbudził go mówiąc: „wasza książęca Mość wstawajcie!“ Otworzył oczy, nie wiedząc, co się dzieje wokoło niego, i usiadłszy na łóżku, patrzał na gości z zdziwieniem i ze strachem. Tołstoj zbliżył się do niego i powiedział: „Panie i carewiczu! Według wyroku najznakomitszych ludzi ziemi rosyjskiej jesteś osądzony na karę śmierci za zdradę przeciw ojcu twemu i przeciw ojczyźnie. Przyszliśmy z rozkazu cara spełnić nad tobą ten wyrok, dlatego też modlitwą i żalem za grzechy przygotuj się do śmierci, gdyż koniec życia twego bardzo już jest blizki.“

Gdy usłyszał to carewicz, zaczął wzywać o pomoc, lecz widząc, że nikt nie przychodzi, rozpłakał się gorżko wołając: „biada mnie nieszczęśliwemu, biada mnie urodzonemu z krwi carskiej; czy nie lepiejby mnie było urodzić się z ostatniego poddanego?“

Tołstoj pocieszając carewicza, mówił: „Car jako ojciec darował ci twe przewinienia i modlić się będzie za duszę twoją, lecz jako monarcha przebaczyć nie mógł, lękając się wyrządzić szkodę ojczyźnie; dlatego też zaniechaj łez i skargi, bo to rzecz kobieca, i przyjm los twój, jak należy mężowi, pochodzącemu z krwi carskiej, i módl się o przebaczenie grzechów twoich.“ Lecz carewicz nie słuchał rady jego, lecz płakał i narzekał na ojca, nazywając go dzieciobójcą.

Gdy oprawcy obaczyli, że carewicz modlić się nie chce, wziąwszy go pod ręce, postawili na ziemi i zmusili go uklęknąć. Potem jeden z nich, (kto niewiadomo, bo jak Rumiańców pisze: ze strachu nie uważałem) wyrzekł zamiast niego: „Panie, w ręce Twoje oddaję ducha mego.“ Carewicz zaś zaczął się szamotać i bronić rękami i nogami, i chciał się im wyrwać. Wtedy Buturlin wyrzekł: „Boże przyjm duszę sługi Twego Aleksieja w mieszkania świętych i zapomnij na jego, grzechy, jako miłosierny ojciec!“

Wśród tych słów powalili carewicza na wznak na łóżko, i wziąwszy dwie poduszki, nakryli mu głowę i przygnietli go niemi, naciskając, do-

póki ruch nóg i rąk nie ustał, a serce bić nie przestało, co jednak nastąpiło prędko z powodu jego słabości.

Gdy to spełniono, ułożyli oprawcy ciało carewicza tak, jakby spał, i pomodliwszy się za jego duszę, wyszli. Rumiańcow z Uszakowem zostali w fortecy, żeby kto z obcych nie wszedł, Buturlin zaś i Tołstoj pojechali do cara, donieść mu o śmierci carewicza. Wkrótce przyjechała z pałacu p. Kramer i razem z Rumiańcowem umyli ciało, ubrali go w świetne odzienie i przygotowali wszystko do pogrzebu.

O śmierci carewicza dowiedziano się tegoż dnia 26-go czerwca 1718 r. po południu; bo rozgłoszono powszechnie, iż umarł od apopleksyi.

Na trzeci dzień ciało jego z honorami, należnemi carskiemu synowi, przeniesiono do Troickiego soboru, a 30-go postawiono w Petropawłowskim soborze obok ciała jego żony.

Przeniesienie i pogrzeb odbyły się wśród wielkiego zebrania narodu, według ceremoniału przez samego cara aprobowanego; nikt zaś o prawdziwej śmierci carewicza nie wiedział.

Na pogrzebie był car z carycą i obydwoje gorzko płakali. — Czy to był żal, czyli najjaśniejsza komedya — Bogu jedynemu wiadomo.

J. S.



Ciocia Marcysia.

I.

W kilka dni po ślubie naszym, który odbył się w rodzinnej wsi żony mojej, gdzie ojciec jej zarządzał folwarkiem, należącym do wielkich dóbr jednego z naszych „nieobecnych‟, przybyliśmy do Lwowa: ja, żona i „wyprawna‟ służąca Magda, rodowite dziecko ziemi krakowskiej, zapędzone w dziecięcych latach aż pod Lwów zrządzeniem losu. Miałem jeszcze tylko tydzień urlopu, czemprędzej więc musieliśmy urządzić sobie pomieszkanie, ażeby spokojnie i wygodnie rozpocząć nowe życie. Trzy pokoje, przedpokój i kuchnia na trzeciem piętrze, zapłacone z góry za pół roku, umeblowane skromnie, słoneczne, z widokiem na niezabudowaną parcelę, na której rosły stare drzewa, resztki przedmiejskiego ogrodu, stały się naszem gniazdkiem, pełnem uroku.

Chciałem poprzestać na dwóch pokojach, ustąpić jednakże musiałem żonie, która wynajęła trzy pokoje ze względu na moją osobę. Rzecz nadzwyczajnie rzadka w małżeństwie, ale mimo to prawdziwa.

— Bądź spokojny, nie naruszymy równowagi w naszym budżecie — mówiła moja pani z miną doświadczonej gospodyni. — Zamieszkamy na trzeciem piętrze, nieco dalej od śródmieścia i tanim kosztem zdobędziemy się na trzy pokoje. Nie jestem gąską i wiem, że jako literat i dziennikarz musisz mieć dla siebie osobny gabinet do pracy.

Spełniło się moje marzenie, o którem żonie wspomnieć nie śmiałem. Przez cztery dni urządzaliśmy w pocie czoła pomieszkanie przy pomocy Magdy i stróża domu, a gdy w kuchni zawisł na gwoździu ostatni rondel, wyszliśmy po obiedzie do miasta, celem załatwienia rozmaitych drobnych sprawunków. Spożywszy podwieczorek w cukierni, wracaliśmy do domu, znużeni bieganiną po mieście.

— Szczęśliwa jestem, że skończyło się nasze gospodarstwo tymczasowe i że od jutra możemy rozpocząć prawidłowe życie — mówiła żona. — Nie uwierzysz, jak się cieszę na myśl, że wejdziemy do pomieszkania zupełnie uporządkowanego.

— Ja dziś jeszcze zabiorę się do pisania — odpowiedziałem wesoło, myśląc o gabinecie moim. — Tyle wrażeń, spostrzeżeń, pomysłów; byle tylko człowiek umiał to wypowiedzieć...

— Umiałeś dawniej, potrafisz i teraz — odezwała się moja pani. — Ja ci twoich myśli z pewnością nie spłoszę.

I tak rozmawiając swobodnie i snując plany na przyszłość, stanęliśmy wreszcie przed „naszą‟ kamienicą, nie przeczuwając nawet, jaka niespodzianka nas czeka na progu domu. Niespodzianką ową była ciocia Marcysia, zwana przez bliższą i dalszą rodzinę, a nawet przez bliższych i dalszych znajomych „plagą egipską‟. Ciocia Marcysia, trzymając obrzydliwego mopsa na rękach, powitała nas w przedpokoju w taki sposób, jak gdyby ona była panią domu, a my jej gośćmi.

— Siadajcie i opowiadajcie, co słychać nowego — zaczęła szybko mówić, ulokowawszy siebie i mopsa na kanapie. — Ja przyjechałam z Pokrzywki od Tomaszów. Dziwni ludzie, u których tylko taka jak ja cierpliwa i pełna taktu osoba mogła wytrzymać przez trzy miesiące. On pali ciągle obrzydliwe cygara, ona wiecznie siedzi w kuchni lub spiżarni, panny — co mi za panny! — czytają, albo szyją, albo uczą chłopskie dzieci. Prawdziwa rodzina bzików. Co ja tam wycierpiałam! Kundle folwarczne kilka razy pokaleczyły mojego „Pidusia‟, panny służącej nie mogłam się doprosić, nawet perfumy musiałam kupować za swoje pieniądze!

W tej chwili zaczął „Piduś‟ chrapać jak najpospolitszy pies, wywiesiwszy ozór na jasne obicie kanapy.

— Poczciwy piesek — odezwała się ciocia Marcysia. — Śpi, chociaż od rana nic prawie biedak nie jadł. Sądzę, że znajdziecie dla niego jaką poduszeczkę, bo ja tu u was zabawię przez kilka tygodni, chociaż, Bóg świadkiem, nie mam czasu. Robię to tylko dla twojej żony, dla tej kochanej Jadzi, której nieraz matkę zastępowałam.

Ja zdrętwiałem, a żona moja przerażone oczy zwróciła na ciotkę Marcysię.

— Ja wam nie zrobię kłopotu — zapewniała ciotka. — Dacie mi tamten pokój i łyżkę rosołu, to mi wystarczy. Wiecie, że jestem cierpliwą i pełną taktu osobą.

— Tamten pokój przeznaczyłam dla mojego męża jako gabinet do pracy — odparła energicznie moja żona.

— Tak? No to w takim razie mogę tu w salonie mieszkać. Będę spać z „Pidusiem‟ na kanapie. Jestem cierpliwą i pełną taktu osobą.

Jadzia spojrzała na mnie rozpaczliwie, jakgdyby prosiła o pomoc, ale ja ruszyłem ramionami na znak, że jestem zupełnie bezbronnym. Wszakże ciocia Marcysia nie należała do mojej rodziny.

— Zapewne dziwicie się, że nie byłam na waszem weselu? — prawiła niezmordowanie ciotka. — Nie miałam jedwabnej sukni, a Tomasz nie chciał mi pożyczyć nawet tak drobnej kwoty, mówiąc, że wystarczy suknia wełniana. Ofiarowałam Bogu to zmartwienie i listownie posłałam wam błogosławieństwo, które teraz ustnie powtarzam.

Z wielkiem namaszczeniem powstała z kanapy, wyciągnęła nad głowami naszemi obie ręce i wyrecytowała dobrze wyuczone błogosławieństwo, które miała w zanadrzu dla wszystkich nowożeńców. Usiadłszy znowu na kanapie, otarła oczy fularem i nagle zapytała:

— A co będzie na kolacyę?

Osłupieliśmy oboje i dopiero po długiej chwili żona moja odpowiedziała:

— Chleb z masłem, szynka i herbata.

— Zimna kolacya — zauważyła ciotka. — U Tomaszów na kolacyę całymi tygodniami dawano kwaśne mleko z ziemniakami. Dla „Pidusia‟ musiałam poprostu żebrać o kawałeczek pieczeni. Tylko tak cierpliwa i pełna taktu osoba, jak ja, mogła znieść podobną kuchnię. Ofiarowałam to

Bogu. A karlsbadzkie sucharki macie do herbaty?

— Wystarczą nam lwowskie bułki — odrzekła moja żona z niechęcią, aż nazbyt widoczną.

— Ja rezygnuję, a dla „Pidusia" mam kawałeczek sucharka w mojej torebce. Jestem osobą cierpliwą i pełną taktu... A do kościoła macie daleko?

— Dziesięć minut drogi.

— To daleko; ale ja przyzwyczaiłam się chodzić piechotą u Tomasza, który mi zawsze koni odmawiał, twierdząc, że potrzebne są do roboty. W tej Pokrzywce nic tylko robota, robota i robota.

W ten sposób prawiła ciotka Marcysia aż do kolacyi, po której na szczęście zaraz udała się na spoczynek, dostawszy ataku udanej migreny.

II.

Trzeciego dnia rano, gdy ciotka Marcysia poszła do kościoła, a Piduś wylegiwał się na kanapie, żona moja ścierając prochy, zapytała mnie nagle:

— Znasz ty pannę Pierzchalską?

Spojrzałem na żonę, zdziwiony tem pytaniem, ona zaś zapłonęła szkarłatnym rumieńcem i widocznie była bardzo zmieszaną. Wiem, że nie widziała nigdy panny Pierzchalskiej i nic o niej nie słyszała, skądże więc teraz to nazwisko mogło tak niespodziewanie ją zająć?

— Skądże ci przyszła na myśl panna Pierzchalska? — zapytałem nawzajem.

— Tak sobie — odrzekła żona i dalej zawzięcie ścierała kurz z mebli. Nagle stanęła przedemną i wpatrując się badawczo w twarz moją dodała:

— Podobno panna Pierzchalska z dawnych czasów nie jest ci obojętną?....

Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, ażeby się domyśleć, że jakaś osoba, pałająca nadzwyczajną miłością bliźniego, chciała nam zamącić miodowe miesiące. Na szczęście, przed poznaniem się z żoną moją nie wiedziałem nic ani o miłości, ani o miłostkach, mogłem więc stawić czoło najmisterniej nawet uknutym intrygom. Objąłem żonę w pół i patrząc jej w oczy, mówiłem:

— Pannę Pierzchalską znam. Jest to zamożna osoba, która dla braku lepszego zajęcia trudni się literaturą, pisze powiastki i przynosi je w darze naszemu dziennikowi. Bardzo często muszę czytać jej utwory, z których przeważna część idzie do kosza, i wtedy panna Pierzchalska przychodzi do redakcyi, ażeby mi nagadać mnóstwo niezbyt miłych rzeczy i to właśnie wtenczas, gdy nie mam do stracenia ani chwili czasu. Z tego powodu nie jest mi obojętną, jako jedna z plag redakcyjnych.

— A ciotka Marcysia — zawołała żona i nagle urwała, ale już za późno.

— Aha, więc to ciotka Marcysia jest autorką tej plotki! — zauważyłem, niezbyt mile dotknięty. Rzeczywiście przyznać jej trzeba, że jest osobą „pełną taktu," jak sama siebie nazywa.

— Czegóż innego można się po niej spodziewać, prócz intryg i plotek?

— A mimo to plotka ciotki Marcysi tak na ciebie podziałała — rzekłem tonem wyrzutu.

— Nie dziw się — odparła żona — ciotka opowiadała mi o tej Pierzchalskiej i o tobie z takiem przejęciem, z takim akcentem prawdy, tak dobrze odegrała rolę bolejącej nad moim losem krewnej, że mimowoli cząstka powątpiewania musiała utkwić w mem sercu.

— Rolę osoby, bolejącej nad cudzym losem odegrała wczoraj również i przedemną, ale ja na słowa jej tyle zważałem, co na chrapanie Pidusia. Opowiadała mi o twojej rzekomej miłości do Plaskiewicza, czy Packiewicza, już nie pamiętam dokładnie nazwiska. Wspominam ci o tej plotce li tylko dlatego, ażeby scharakteryzować postępowanie ciotki Marcysi.

— Podła! — zawołała moja żona — Packiewicz bardzo natrętnie starał się o moją rękę, dostał jednakże zaraz na wstępie dosadną odprawę. Dziś jeszcze...

— Szkoda każdego słowa na usprawiedliwianie się — przerwałem żonie. — Lepiej będzie, gdy obmyślimy jakiś dobry sposób pozbycia się tej ciotuni.

Złożyliśmy radę wojenną we dwójkę przeciwko ciotce i Pidusiowi. Łatwo to powiedzieć: pozbędźmy się ciotki, ale wykonać bardzo trudno. Roztrząsnęliśmy już co najmnej dziesięć planów działania, gdy do pokoju niespodziewanie wszedł wuj Tomasz.

— Aha, więc zacna kuzynka Marcysia jest u was — rzekł na wstępie, ujrzawszy Pidusia na kanapie — miła babina.

Po przywitaniu podała żona drugie śniadanie, podczas którego wuj Tomasz opowiadał rozmaite historyjki o wielce szanownej ciotce Marcysi.

— Siedziała u nas w tym roku trzy miesiące, wyprawiając od rana do nocy awantury — mówił wuj Tomasz. — Poróżniła z sobą połowę powiatu, jeżdżąc nieustannie po dworach i plebaniach i rozwożąc plotki. Gdy wreszcie uczuła sama, że nabroiła zbyt wiele, oświadczyła mi, że wyjeżdża do was na kilka tygodni, przyczem, jak zwykle, zażądała drobnej pożyczki, która drobną wcale nie była. Odpowiedziałem jej stanowczo i otwarcie, że pieniądze dam, ale tylko pod tym warunkiem, jeżeli u was zabawi co najwyżej jedną dobę i zaraz dalej pojedzie. Nie chciałem, ażeby wam zatruła pierwsze czasy małżeńskiego pożycia. Przysięgła, że warunku dotrzyma, zabrała pieniądze i zainstalowała się, jak widzę, u was na piękne. Niech się tylko rozpatrzy, a będziecie widzieć, jakie wam figle zacznie płatać.

— Już wypłatała — odrzekła moja żona i opowiedziała historyę o Packiewiczu i Pierzchalskiej.

— O, tego jej płazem nie puszczę — zawołał wuj Tomasz.

Wkrótce zjawiła się ciotka Marcysia, niosąc w ręce olbrzymi „ridicule", a gdy spostrzegła wuja Tomasza, zmieszała się w pierwszej chwili, wnet jednakże odzyskała kontenans.

— Co za miłe spotkanie — mówiła, patrząc podejrzliwie na wuja Tomasza. — Wstąpiłam po drodze do tych gołąbków lubych i chciałam po kilku godzinach zaraz dalej jechać, sierota bezdomna, ale mnie ta niegodziwa migrena ubezwładniła. Jutro pomimo osłabienia wyjeżdżam do Krakowa, gdyż jestem osobą cierpliwą...

— I pełną taktu — dokończył wuj Tomasz. — Niech kuzynka będzie tak dobrą i uda się ze mną do drugiego pokoju, celem załatwienia sprawy, która tylko nas oboje obchodzi.

Ciotka Marcysia zawahała się, widząc surową minę wuja Tomasza i tonem prośby zapytała:

— A możeby później?

— Nie — odrzekł krótko wuj Tomasz.

Po takiej odpowiedzi ciotka wsunęła się do sąsiedniego pokoju, a za nią poszedł wuj Tomasz, drzwi zamykając za sobą. Rozmowa trwała bardzo krótko, nie dłużej nad pięć minut. Nagle ciotka otworzyła drzwi z rozmachem, który nie świadczył ani o cierpliwości jej, ani o takcie, ani o migrenie, wypadła jak furya, porwała pod pachę Pidusia i zawołała:

— Nie spodziewałam się po was takiej intrygi! Noga moja tutaj nigdy już nie postoi!

Zabrała następnie torbę podróżną i wyleciała, krzycząc z progu:

— Po rzeczy poślę ekspresa!

Wuj Tomasz zrobił ręką znak krzyża świętego i rzekł z komiczną powagą:

— Na drugi rok o tej porze będziecie ją znowu mieć u siebie.

Henryk J.

Dwie wiosny.

Jest pora w naturze, gdzie życie rozkwita,
Z mroźnego uśpienia podnosi się świat.
Z za śniegów zimowych czar nowy, nam świta:
Z bujnego niw łona podnosi się kwiat.

Zielenią się pola, bór w liście się stroi,
Śpiewając skowronek pod niebo się wzbija; —
W kwiecistych ogrodach od pszczółek się roi,
I słowik wśród liści gniazdeczko uwija.

I wszystko się cieszy i snuje marzenia,
I wierzy, że przyszłość tych snów nie rozwieje;
Świat cały do dążeń swych bieży ziszczenia,
I wszystko na przyszłość wysnuwa nadzieje....

I wiosna przemija. — Roślina dojrzewa;
W gniazdeczku już piskląt świergocą kwilenia. —
Bujnemi owoce pokryły się drzewa,
I wszystko dobiegło do celu marzenia...

* * *

Jak w łonie natury, tak w życiu ludzkości
Jest pora, gdzie mary powstają z uśpienia;
Gdzie kwitną sny złote i czary miłości,
Gdzie w błękit daleki mkną lube marzenia.

Do czynu i pracy zrywają się młodzi
Z płomieniem dążenia, z skrą natchnień na czole,
Ufając, że przyszłość ich trudy nagrodzi —
Z odwagą w wir świata ślą oko sokole.

Mar gmachy powstają pod dłonią nadziei;
Tysiączne w umyśle świtają pragnienia.....
O czyliż wśród życia niszczącej zawiei
I one dobiegą do celu marzenia?

Czyż ziarno dążenia obfite da plony;
Czyż kwiaty snów złotych zostawią nasienie?
Lub padnie ruiną gmach marzeń wyśniony
Jak echo rzucając za sobą wspomnienie?

* * *

Porównaj je z sobą i zestaw te światy,
Wszak jeden jak drugi świat uczuć i snów;
Tak w pierwszym jak w drugim powsta ją mar kwiaty.....
Przychodzą, mijają i nikną nam znów.

Wszak w pierwszym mar cuda plon niosą obfity,
I życie nie mija czczych marzeń koleją.
Dosięgły ziszczenia snów złotych zenity,
Hymn życia daremną nie przebrzmiał nadzieją.

Dlaczegóż więc pora urocza młodości
Ma w mgławej się rozwiać pomroce zniszczenia,
By przebrzmieć czczem echem na łonie przeszłości
I wszystkie młodzieńcze rozproszyć marzenia?

Jan Koraszewski.



Opowiadanie Kalifornijczyka.

Dwadzieścia pięć lat temu wybrałem się raz pieszo do osady Stanisława... Szedłem z kilofem i łopatą, w nadziei zrobienia po drodze szczęśliwego odkrycia. Przepłukałem tu i owdzie trochę błota, ale nic nie znalazłem. Okolica była rozkoszna: lesista, balsamiczna, strojna w kwiaty i zieleń. Niegdyś mieszkali tu ludzie, lecz poszli w inne strony i raj osamotniał. Na pewnem miejscu, gdzie istniało przedtem przemysłowe miasto z bankami, dziennikami, towarzystwem ubezpieczeń, z burmistrzem i radnymi, została tylko wielka przestrzeń pokryta gęstą trawą, bez najmniejszego śladu, że tu kiedyś kipiało życie. W pobliżu, koło drogi, można było jeszcze gdzieniegdzie dostrzedz ładne wille, lecz tak pokryte winem i różami, iż nawet drzwi i okna ginęły w liściach: nieomylny znak, że właściciele dawno opuścili swoje sadyby, nie mając ich komu sprzedać lub darować.

Od czasu do czasu, w odległości kilku mil angielskich od siebie, natrafiałeś na samotne domki pierwszych górników, którzy tu przybyli w czasie gorączki złota. W rzadkich wypadkach niektóre z tych siedlisk były dotąd zamieszkałe; w takim razie mogłeś być pewnym, że kto je zamieszkuje, ten je wybudował i że jest to człowiek, który zerwał ze światem; nieszczęśliwy, który nie chce znać swoich krewnych i przyjaciół, a szuka tylko spokoju...

Dużo było podówczas w Kalifornii tych żyjących zmarłych, prześladowanych losem biedaków, siwych i zgrzybiałych w czterdziestym roku życia, których tajemne myśli składały się z samych gorzkich wspomnień i żalu za zmarnowanem życiem.

Samotny kraj! Żadnego odgłosu w tem przestworzu lasów i trawy, tylko leniwy chrobot owadów.

Odżyłem, gdy w parę godzin po południu ujrzałem pierwszą ludzką istotę.

Był to człowiek, mogący liczyć około czterdziestu pięciu lat; stał przed różowym, schludnym domkiem i podlewał kwiaty starannie utrzymanego ogródka. Zaprosił mnie do siebie i według kalifornijskiego zwyczaju kazał mi dom swój uważać za mój własny.

Było dla mnie prawdziwą rozkoszą dostać się do ludzkiego mieszkania, po tylu tygodniach spędzonych w budach skleconych z desek, o podłogach nigdy nie mytych. Leżąc na twardym tapczanie, jedząc z cynowych naczyń słoninę, fasolę i pijąc tylko kawę czarną, a za całą ozdobę mieszkania mając jedynie wycinki z ilustrowanych pism, czułem się niewymownie szczęśliwym, gdym się dostał do czystego pokoju, gdym zobaczył tapety na ścianach, białe firanki w oknach i wymyte szyby... Nigdybym dawniej nie uwierzył, że dywan, zrobiony z gałganków, może taką sprawić uciechę; że patarafki, muszelki, szydełkowe robótki i te rozmaite bezimienne drobiazgi, które ręka kobieca rozrzuca w niewiadomym celu po wszystkich kątach mieszkania, mogą kogoś do tego stopnia uradować... Rozrzewnienie, jakie czułem w sercu, odbiło się na mojej twarzy.

Gospodarz zauważył je i był widocznie z tego bardzo zadowolony; zauważył je tak wyraźnie, iż odpowiedział mi, jakbym go był pytał:

— Wszystko jej dzieło — rzekł — wszystko sama zrobiła, każdy kawałek — i objął pokój pełnem zachwytu i dumy spojrzeniem.

Zaprowadził mnie potem do sypialnego pokoju, żebym sobie umył ręce; do takiego sypialnego pokoju, jakiego nie widziałem od lat: białe firanki, dywan na podłodze, gotowalnia ze zwierciadłem, z poduszką na szpilki i wytwornymi przyrządami toaletowymi; w kącie stała olbrzymia umywalnia z miednicą i dzbankiem porcelanowym, z mydłem w puzderku i z tuzinem ręczników tak białych i cienkich, iż używając ich, miało się uczucie, jakby jakiegoś spełnionego świętokradztwa.

Skończywszy toaletę, począłem się przypatrywać po kolei fotografiom i sztychom, porozwieszanym na ścianach; odczułem, niezrozumiałą dla

mnie drogą, ale z całą świadomością, że gospodarz, który śledził za mną oczyma, pragnie, ażebym przypatrzył się jednemu szczególnie obrazowi... Kilkakrotnie przeszedłem mimo, gdy naraz odgadłem, że mam go przed sobą... jakieś mistyczne fale, bijące od mojego towarzysza, dały mi znać, że się nie mylę...

— Wybuchnął wesołym śmiechem, zatarł ręce, wykrzyknął:

— Trafiłeś pan! wiedziałem, że pan trafisz! Tak! to jej portret!

Przystąpiłem bliżej do ściany i spostrzegłem to, czego dotąd nie zauważyłem: dagerotyp w ramkach orzechowych. Była to słodka dziewczęcia twarzyczka, najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem; tak mi się przynajmniej wówczas zdawało.

— Dziewiętnaście lat teraz ukończyła — rzekł mój nowy znajomy, gdym odłożył fotografię — portret zrobiony w dzień naszego ślubu. Gdybyś ją pan samą zobaczył! ah! zaczekaj pan u mnie, aż do jej powrotu!

— A gdzie jest teraz pańska żona? Kiedy wróci?

— Wyjechała dwa tygodnie temu, do swojej rodziny, która mieszka o kilkadziesiąt mil ztąd.

— Kiedy jej pan oczekuje?

— Dzisiaj mamy środę. Wróci w sobotę wieczorem zapewne koło dziewiątej.

— Bardzo mi przykro, bo już mnie wtedy tu nie będzie — rzekłem z prawdziwym żalem.

— Nie będzie pana? Dlaczego ma pana nie być? jej byłoby to bardzo bolesne!

— Jejby było bolesne! temu ślicznemu stworzeniu. Ah! gdyby ona sama mi to powtórzyła! Czułem taką tęsknotę zobaczenia jej, takie nienasycone pragnienie i taki smutek zarazem, że począłem sam się o siebie obawiać. Powiedziałem sobie w duchu: ucieknę ztąd, bo jak ją żywą zobaczę, nie będę miał więcej w duszy spokoju.

— Widzisz pan, ona lubi gości, lubi ludzi, którzy znają świat i umieją opowiadać; takich ludzi, jak pan. To jej jedyna przyjemność w tem ustroniu. Ona także zna wszystko i umie szczebiotać jak ptaszek, a książek tyle przeczytała, że sam się pan zdziwi. Nie odchódź pan! To tak mało, parę dni! A jej to będzie bardzo przykro!

— Słyszałem jego słowa i rozumiałem je, ale tak byłem pogrążony w marzeniach, że nie spostrzegłem jak się wydalił z pokoju. Zauważyłem go dopiero jak wrócił, trzymając w ręku dagerotyp.

— Teraz panie — rzekł pokazując mi go — powiedz jej w oczy, że mogłeś zostać u nas, a nie chciałeś .Moje postanowienie nie wytrzymało próby. Wieczór przepędziliśmy paląc fajki i rozmawiając o różnych rzeczach, ale głównie o niej. Dawno tak mile nie przepędziłem czasu. Czwartek upłynął niepostrzeżenie. Gdy się zmierzchło, przybył z sąsiedztwa poszukiwacz złota, jeden z tych nieszczęśliwych pionierów, zestarzałych w zawodnem rzemiośle.

Był to wyskoi, tęgi mężczyzna, o siwiejących włosach i ogorzałej twarzy. Powitał nas serdecznie w krótkich, poważnych słowach:

— Przejeżdżałem właśnie — rzekł — i wstąpiłem, żeby się dowiedzieć, jak się nasza pani miewa i kiedy wróci? Czy miał pan od niej jakie wiadomości?

— Miałem list; jeżeli pan chce, to go panu przeczytam, panie Tomaszu.

— Spodziewam się, że chcę, jeżeli to nie będzie niedyskrecyą z mojej strony, panie Henryku.

— Henryk przyniósł list i przeprosił nas, że opuści niektóre ustępy czysto prywatnej natury; potem przeczytał nam poczciwe pismo, pogodne, spokojne i takie ujmujące zarazem! Na końcu był dopisek pełen serdecznych słów dla pp. Tomasza, Józefa, Karola i innych przyjaciół domu i sąsiadów.

— Kiedy skończył, spojrzał na Tomasza i zawołał:

Znowu pana przyłapałem! Odejm pan ręce od twarzy i pozwól mi spojrzeć sobie w oczy! Pan zawsze zakrywa się rękami jak czytam jej listy. Ja jej to powiem...

— O nie rób pan tego... Ja się starzeję, widzi pan, i lada przeciwność mnie drażni, do krzyku prawie. Myślałem, że powinnaby już sama tu być, a pan masz tylko list.

— Co panu znowu do głowy strzeliło? Przecież zapowiada się dopiero na sobotę!

— Tak! tak! na sobotę! wiem o tem nie rozumiem, co mi się stało. My tu wszyscy przyjedziemy na jej spotkanie, ale teraz muszę już iść, bywaj pan zdrów!

— W piątek popołudniu przybył inny weteran drużyny górników i powiedział, że się wszyscy cieszą na sobotnią zabawę, jeżeli tylko pani Henrykowa nie będzie bardzo zmęczona podróżą.

— Zmęczona? Ona zmęczona! Słuchajcie go! Przecież wy wiecie, że onaby sześć tygodni nie usiadła, aby was tylko zabawić!

— Gdy się p. Józef dowiedział, że jest list od niej, prosił, aby mu go przeczytano. Serdeczne słowa do niego się odnoszące złamały go zupełnie; tłómaczył się także, że jest już tak stary i słaby, iż lada wzmianka od niej wzrusza go do łez.

— O! Boże, jak nam jej brakuje! — westchnął — w sobotę popołudniu — wyciągnąłem zegarek i spojrzałem która godzina. Henryk to zauważył i zapytał patrząc na mnie przestraszonym wzrokiem:

— Pan chyba nie myśli, że ona już tu być powinna?

Zmieszało mnie to powiedzenie, ale przymusiłem się do uśmiechu i odparłem, że to mój zwyczaj, gdy na kogo czekam, patrzeć na zegarek. Lecz to mu nie wystarczało i od tego czasu począł okazywać niepokój. Cztery razy wyprowadzał mnie na pagórek stojący przy drodze, z którego można było objąć daleką przestrzeń — tam stawał, przysłaniał oczy ręką i patrzał. Kilkakrotnie powiedział: Jestem niespokojny, jestem bardzo niespokojny. Coś mi mówi, że wydarzyło się nieszczęście.

Jak pan sądzi, musiało jej się coś przytrafić? Gniewało mnie to dziecinne postępowanie, aż w końcu straciłem cierpliwość i odpowiedziałem mu bardzo szorstko. To go widocznie do reszty przygnębiło; taki był potem cichy i smutny, że mi się ogromnie żal zrobiło i byłem na siebie zły, za niepotrzebnie wypowiedziane ostre słowa.

Byłem też bardzo rad panu Karolowi, który przybył pod wieczór ze swojej kopalni i począł rozmawiać o liście i o przygotowaniach na przyjęcie żony Henryka. Karol przemawiał raz po raz bardzo serdecznie, żeby wlać otuchę w serce przyjaciela:

— Wypadek? jaki wypadek mógłby się jej zdarzyć? Na co się próżno trapić? Cóż panu pisze w liście? Czyż nie mówi, że jest zdrową i że tu przybędzie wieczorem około dziewiątej? Czy była kiedy nie słowną? Zakładam się, że będzie tutaj na oznaczoną godzinę; to jest tak pewne, jak to, że pan się urodziłeś! Chodź pan, zajmijmy się przygotowaniami; nie wiele czasu zostało.

— Wkrótce powrócili Józef i Tomasz i zaraz zabraliśmy się do przystrajania domu kwiatami.

Około dziewiątej, powiedzieli górnicy, że przynieśli skrzypce, basetlę i klarnet i że muszą je nastroić, bo niebawem przybędzie młodzież na tańce.

To trwało do dziewiątej. Henryk stał we drzwiach z oczami przykutemi do drogi, i widać było jaki nim owładnął niepokój.

Parę razy przyjaciele, kładli mu do ręki kieliszek, aby wypił zdrowie żony,

a teraz przysunął się do niego p. Tomasz, mówiąc:

— No! napijmy się wszyscy za zdrowie naszej pani, bo lada chwila nadjedzie.

P. Józef przyniósł kieliszki i częstował towarzystwo. Sięgnąłem po jeden z dwóch pozostałych kieliszków, gdy mi szepnął: „zostaw ten, weź drugi“.

Zrobiłem jak kazał. Henrykowi dostało się ostatnie naczynie. Dziewiąta biła w chwili, gdy je wypróżnił. Słuchał uderzeń zegara, nagle pobladł śmiertelnie i przemówił do nas niknącym głosem:

— Słabo mi, pomóżcie mi się położyć.

Przenieśliśmy go na sofę. Począł majaczyć:

— Słyszę odgłos kopyt końskich, czy przyjechała?

Jeden z weteranów odpowiedział:

— To był Jakób Parrisch, który przyjechał donieść, że się towarzystwo opóźni; koń jej zakulał, ale i tak przybędzie, najwyżej za jakie pół godziny.

— O! jaki ja jestem szczęśliwy, nic się złego, chwała Bogu, nie przytrafiło — szepnął Henryk.

Ledwo wymówił te słowa, kiedy zasnął głęboko. Przyjaciele zdjęli z niego pospiesznie ubranie i wpakowali go do łóżka, w tym samym pokoju, w którym myłem sobie ręce. Zamknęli za nim drzwi i powrócili do mnie. Zdawało mi się, że się zabierają do wyjścia.

— Nie idźcie panowie — rzekłem — co ja zrobię jak przyjedzie, ja jej nie znam...

— Ona jak przyjedzie? O! biedactwo! Ona nie żyje od dziewiętnastu lat!

— Umarła!

— Albo gorzej! Pojechała odwiedzić rodzinę, w pół roku po zamążpójściu i w drodze do domu, pewnej soboty wieczorem, Indyanie porwali ją pięć mil od tego miejsca. Od tego czasu, nikt o niej więcej nie słyszał.

— A on stracił zmysły?

— Od tej chwili nigdy nie przyszedł do siebie. Ale prawdziwie jest chorym dopiero, gdy nadchodzi pora roku, w której się jej spodziewał. Wtedy zaczynamy go odwiedzać na parę dni naprzód, pytamy się czy nie ma wiadomości od żony, a z nadejściem soboty przychodzimy wszyscy razem i robimy przygotowania na jej przyjęcie. Powtarzamy to od dziewiętnastu lat. Z początku było nas dwudziestu siedmiu, nie rachując dziewcząt; teraz zostało nas wszystkiego trzech, a z dziewcząt niema ani jednej. Daliśmy mu lekarstwo na sen, inaczej dostałby napadu szaleństwa. Obecnie wszystko zażegnane, aż do przyszłego roku: Henrykowi zdaje się, że mieszka z żoną, aż dopiero na trzy lub cztery dni przed rocznicą nieszczęścia, zaczyna jej wyglądać, wyciąga ten poczciwy stary list, a my prosimy, aby nam go przeczytał. O Boże! to była anielska istota.

Mark Twain.





Z teatru.

(„Pan Damazy“ — komedya Józefa Blizińskiego. „Krewniacy“ — komedya Michała Bałuckiego.)

Minęły dni Modrzejewskiej — przeszliśmy do zwykłej prozy.

My, Poznańczanie wobec wszystkiego, mającego styczność z sztuką i pięknem, jesteśmy zwykle tak zimni, nieczuli, martwi, że chociaż przy aż kilkakrotnych pożegnaniach wielkiej polskiej artystki padały gęsto słowa, których dobry smak, a nawet sens dałoby się zakwestyonować — z pewnem zadowoleniem uczestniczyłem przy tych wylewach zapału, ponieważ zapał ów — szczery czy sztuczny — dawał mi iluzyę, iż my istotnie gorąco odczuwamy piękno i z tej krynicy umiemy czerpać krople istotnej radości duchowej. To iluzya, lecz.... jak miło zachować w życiu nieco iluzyi! Gdy wicher zrywa liść po liściu z zielonego drzewa życia, i siatka rozczarowań omota niby babie lato ogołocone jego konary, pielęgnujemy pozostałe zielone listki — iluzye, by barwiły nam szarotę powszednią. Jakoż oddawałem się marzeniom, że Poznań umie rzeczywiście interesować się czemś więcej jak Czytelnią dla kobiet, nowym naczelnym prezesem, wiadomostkami z rynku matrymonialnego, że ludzie nie dążą do teatru owczym pędem, celem pokazania się, zaznaczenia swej obecności w ensemblu towarzyskim, obejrzenia znajomych, skrytykowania „nadobnych“ kobiet i podziwiania tualet divy, lecz że potrafią ocenić i rozkoszować się dobrą grą i sztuką sceniczną, wysnuwać z nich nici subtelnych spostrzeżeń, a więc urabiać się duchowo, uszlachetniać naturę i podnosić w kulturalnym rozwoju...

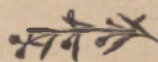
Po dniach iluzyi Modrzejewskiej — wytrzeźwieliśmy ku ubolewaniu dyrekcyi teatru, która znowu poczyna jeremiady na temat pustek. Sądzę, że utyskiwania te są możliwie najgorszym środkiem przyciągania widzów; nadto zaś pamiętać należy, że gdy przed przybyciem Modrzejewskiej dyrekcya rozpłakała się rzewnie, gazety niemieckie, posłyszawszy lament, zacierały ręce i prawiły banialuki o blizkiem bankructwie i zamknięciu teatru polskiego — prawiły z wielką radością, zapewne dlatego, że nie słyszały, jak p. dyrektor pięknie gwiżdże „die Wacht am Rhein....“

Dwie swojskie komedye po ciężkim repertuarze stanowiły miłą odmianę. Ucieszyliśmy się widokiem dawnego znajomego, „Pana Damazego,“ który lubo sam nie ucieszony skromniutką garstką Poznańczan, co wyszli na jego powitanie — witał nas tak, jakbyśmy mu wieniec nieśli w darze. Pan Czerniak nie był idealnym „Damazym,“ lecz grał z werwą, owiał nas atmosferą swojską i wraz z panią Czerniakową w znakomicie narysowej roli wdowy Tykalskiej dzierżył palmę wieczoru. Wykonanie innych ról było słabe tak, iż zatarły się świetnie podpatrzone i delikatną ręką przeniesione na scenę typy tej iście doskonałej polskiej komedyi.

„Krewniacy“ Bałuckiego tracą dużo w porównaniu z „Damazym.“ Są tam sceny wyborne, do jakich zaliczamy mianowicie dwa dyalogi pomiędzy naiwną Anną a jej szwagrem, tryska tam humor, jest ruch i życie, wszelako z drugiej strony galerya znanych karykatur nie interesuje nas, a rażą psychologiczne błędy. Gdy czereda krewniaków wprowadza „z przywiązania do rodziny“ bankiera na trop małżonki wrzekomo flirtującej z sekretarzem, Lubowicz nie biegnie za nimi lecz — rozprawia! Takiej wadliwości, która wynikła zapewne ze względów na tok akcyi i budowę sztuki, mógł ustrzedz się taki majster jak Bałucki.

P. Stradiot w łatwej dla siebie roli bankiera Lubowicza był skończenie dobrym. Pani Larys jako Regina nie pozostawiła wiele do życzenia; tego rodzaju bowiem role, nie pogłębione i nie wymagające uczucia, konweniują jej zupełnie. Bardzo wdzięczną acz nieco za naiwną Anną była panna Zielińska; ślicznie płakała i ślicznie się śmiała. Pp. Prochaska i Kalinowski stanowili dobraną parę gogów, a sympatycznego sekretarza Mirowskiego odegrał p. Wiślański spokojnie i niemal bez zarzutu. Galeryę karykaturalnych postaci dopełniała pani Królikowska.

Roman Rola.



KRONIKA.

Kilka dni temu odbyło się walne zebranie Spółki „Dom Przemysłowy.“ Z przedłożonego bilansu wynika, że przedsiębiorstwo uważane w pewnej chwili za zupełnie chybione, wzięło wcale pomyślny obrót. Bilans szczyci się nawet małym zyskiem, który przekazano do funduszu rezerwowego. To szczęśliwe rozwiązanie sprawy dosyć trudnej przynosi nie tylko zaszczyt mężom, zajmującym się kierownictwem zbiorowego przedsiębiorstwa, lecz daje otuchę, że i inne zbiorowe przedsiębiorstwa się udadzą.

Wiemy wszyscy, że jest myśl założenia fabryki mydła. Jest wprawdzie przysłowie polskie, które mogłoby odstraszyć od takiej właśnie fabryki, ponieważ wiemy jak Zabłocki wyszedł na mydle, lecz przysłowie powstało w czasach, kiedy więcej było fantazyi, niż ścisłego rachunku, więc trzeba mieć nadzieję, że przedsiębiorstwo rozwinie się dobrze.

Ponieważ mówię już o różnych przedsiębiorstwach zbiorowych zwrócę uwagę na spółkę „Gniazdo.“

Dla zrozumienia sprawy wypada mi przypomnieć, z jakich przyczyn Spółka ta powstała. Oto rok temu zakazał magistrat naszemu Sokołowi odbywania ćwiczeń w sali gimnastycznej miejskiej szkoły przy ulicy Naumana. Dziwne to bardzo. Sokołowi zarzucają, że nie ma na oku ćwiczeń ciała, lecz do innych dąży celów. Lecz Sokół takiemi zarzutami, czynionemi mu ze strony Niemców się nie zrażał i starał się wśród młodzieży budzić zapał do ćwiczeń gimnastycznych. Magistrat powinien był uznać te chęci i dążności Sokoła, powinien był ułatwiać kierownikom Sokoła krzewienie zamiłowania do ćwiczeń gimnastycznych. Lecz u nas dzieje się wprost przeciwnie, zamiast ułatwić dążenia pożyteczne, czynią nam przeszkody. Może sądzono, że odmówiwszy Sokołowi sali do ćwiczeń, zmusi się go do zaprzestania ich, a może nawet zmusi się go do rozwiązania Towarzystwa. Tymczasem „Sokół“ znalazł pomieszczenie nie odpowiadające wprawdzie wszelkim wymogom, ale dające możność do wykonywania ćwiczeń a zarząd Sokoła wziął się energicznie do przeprowadzenia dawno już powziętego projektu, do urzeczywistnienia budowy własnej sali gimnastycznej.

Bez pieniędzy budować nie podobna, a fundusz budowlany zbierany skrzętnie zbyt powoli przyrastał — trzeba było pomyśleć o pomnożeniu funduszów budowlanych w szybszem tempie i w tym celu założono Spółkę „Gniazdo“.

Ze sprawozdania wynika, że Spółka ma 227 członków i to 52 zamiejscowych i 175 miejscowych. Członkowie odpowiadają za zobowiązania spółki ilością 254 sum gwarancyjnych, czyli ogólną sumą m. 6350.

Udział unormowany na 25 m., odpowiedzialność jest bardzo niska, a warunki wpłaty niezmiernie dogodne. Można udziały spłacać po 5 mk. kwartalnie.

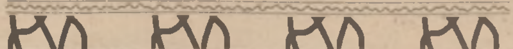
Cel piękny i pożyteczny, jako też niskość udziałów i małe z tem połączone ryzyko powinny zachęcić wszystkich dobrze myślących obywateli do przystąpienia do Spółki Gniazdo.

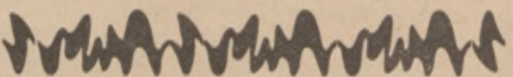
Tylko liczne przystępowanie do Spółki umożliwi Sokołowi wybudowanie własnej sali gimnastycznej, *usłanie sobie własnego gniazda.*

Alfa.











Wiadomości.

— **Wielkie pod Poznaniem** parceluje Dom bankowo - komisowy „*Drwęski i Langner*“ w Poznaniu. Bliższe szczegóły podane są w ogłoszeniu, na które zwracamy baczną uwagę Czytelnikom.

Wobec blizkości miasta Poznania i tak świetnej komunikacyi jak niemniej wobec nader wydajnej, ogrodowej ziemi — kwalifikuje się Wielkie mianowicie dla ogrodników, gdyż na wszystko dobry zbyt. Bliższych objaśnień udzieli na miejscu administrator p. Bajerlein.

— **Z teatru.** W sobotę, dnia 14go b. m., na premierę pójdzie doskonała komedya Józefa Narzymskiego „Epidemia“, w której na czele pokaźnej liczby pierwszorzędnych sił teatru bierze udział p. dyrektor Ryger.

W niedzielę, dnia 15go b. m. po południu o 3ej „Wilhelm Tell“, dramat Schillera, po cenach do połowy zniżonych. Tego dnia wieczorem po raz drugi „Epidemia.“

— **Piękna nowa serya kart pocztowych** ku czci *Konopnickiej* nader artystycznie wykonanych w cenie 1 mk. jest na składzie w księgarni Chrzanowski i Kucner.

— **Szpitalik dziecięcy świętego Józefa w Poznaniu.** Z nadesłanego nam sprawozdania za rok 1902 wyjmujemy następujące dane:

„Rok 1902 był dla szpitalika Ś-go Józefa rokiem jubileuszowym. Minęło 25 lat od założenia zakładu. Zarząd, żeby dać pogląd na dotychczasowy rozwój i działalność Szpitalika, wygotował sprawozdanie za całe 25-cio lecie, uzupełniając je dokładnym opisem stanu. Na mocy tych danych wykazała się od nowa nieodzowna potrzeba powiększenia obecnego Szpitala, tak pod względem ilości łóżek, jak i urządzenia osobnych oddziałów dla chorych zakaźnych. Na tę potrzebę zarząd już kilkakrotnie w swych sprawozdaniach rocznych zwracał uwagę, ale dla braku funduszów na tem poprzestać musiał. — Korzystając ze sprawozdania jubileuszowego rozpoczęto w tym kierunku akcyę i zaczęto zbierać dobrowolne składki na fundusz budowlany. — Usiłowania zarządu poparł z iście ojcowską troskliwością Najprzewielebniejszy Ksiądz Arcypasterz, zasilając z własnej szkatuły znacznym datkiem zbierający się fundusz, i polecając skutecznie to dzieło miłosierdzia osobnym okólnikiem opiece dyecezyalnego duchowieństwa. Mając zapewnioną opiekę Najprzewielebniejszego Księdza Arcypasterza zarząd jest głęboko przekonany, że zamierzone dzieło doprowadzi do szczęśliwego końca. Dotychczas zebrany fundusz wynosi wraz z procentem 8000 marek. Wszystkim szlachetnym ofiarodawcom składa zarząd jak najszczersze podziękowanie i prosi o dalsze, choćby najmniejsze datki na ręce Przewielebnej Siostry Ireny Łuszczewskiej, przełożonej Zakładu.

Pod innemi względami rok 1902 w historyi Szpitala Ś-go Józefa nie zaznaczył się żadnemi zmianami. — Główną część swych dochodów czerpał zakład jak dawniej, z subwencyi rocznych udzielanych, przez wysoki Sejm prowincyonalny, prześwietny Magistrat Miasta Poznania i sejmiki powiatowe. Uzupełniały te dochody datki miłosierne osób prywatnych, które stale swą opieką zakład otaczają. — Wszystkim tym korporacyom, jak i Dobrodziejom składa zarząd jak najszczersze podziękowanie, prosząc usilnie o dalszą pomoc.

Fundusze zakładu powiększyły się o marek 500 przez zapis ś. p. dr. Jana Panieńskiego i o dalsze 500 marek przez dar Wielmożnej Pani Frezerowej z Brzyskorzystewka w listach zastawnych poznańskiego ziemstwa. Na częściowe pokrycie deficytu z lat ubiegłych przekazała szpitalikowi rada generalna „Straży Ś-go Józefa‘‘ marek 3000 za co składamy w imieniu biednych chorych dzieci serdeczne „Bóg zapłać‘‘.

W składzie lekarzy ordynujących w Szpitalu Ś-go Józefa, żadne zmiany nie zaszły, tak samo spoczywał zarząd wewnętrzny w rękach Sióstr Miłosierdzia pod kierunkiem Siostry Ireny Łuszczewskiej.

Kuratoryum Szpitalika Dziecięcego w domu św. Józefa.
Ks. Prałat Dr. Lewicki.
W Jerzykiewicz, poseł. *L. Mizerski,* poseł.“

— **Znin.** Dowiadujemy się, że Najprzewielebniejszy Ks. Arcypasterz chwaląc gorliwość ks. administratora Jasińskiego w Żninie około upiększenia świątyni, oraz uznając potrzebę pobudowania wieży kościoła parafialnego, polecił ks. administratorowi postarać się o plan i kosztorys na mającą się budować wieżę.

— **Wschowa.** W tutejszem gimnazyum złożył dnia 5-go b. m. pomiędzy 11 wyższymi prymanerami jedyny Polak egzamin abituryencki. Jest nim p. Stanisław Michalski, syn zacnego i szanowanego tutejszego obywatela, urzędnika cłowego p. Juliana Michalskiego. Pan Julian Michalski jest znaną osobistością w sprawie Loehninga; jest to właśnie ten urzędnik Polak, który podczas wyborów do reprezentacyi miejskiej głosował tak, jak mu sumienie nakazywało, na rodaka. Syn Stanisław, którego dla dobrych prac piśmiennych zwolniono od egzaminu ustnego, poświęca się stanowi duchownemu i wstępuje do seminaryum w Poznaniu. Szczęść mu Boże w tem zaszczytnem, a tak trudnem powołaniu!

Ruch w Towarzystwach.

Poznań. W mieście naszem odbyło się dnia 12-go z. m. walne zebranie delegatów Towarzystw organistowskich. Głównym punktem porządku dziennego była zmiana statutów. Przy wolnych wnioskach zabrał głos p. Wojciechowski z Krotoszyna i stawił wniosek o ustanowienie sądu polubownego w konsystorzu, aby w przyszłości zapobiedz często zachodzącym nieporozumieniom pomiędzy księżmi proboszczami a organistami. Nad wnioskiem tym wywiązała się ożywiona dyskusya. Pan Henke stawił wniosek, aby ponownie wysłać petycyą do Władzy kościelnej, iż każdy ksiądz proboszcz wzgl. rządzca parafii jest zobowiązany zawrzeć kontrakt piśmienny z organistą i takowy posłać do potwierdzenia do konsystorza.

Zmarli:

Śp. *Franciszek Kruszyński*, inżynier, przeżywszy l. 47, d. 1-go bm. w Berlinie.

Ś. p. *Leon hr. Drogosław Skorzewski* w 48 roku życia, dnia 2-go bm. w Lubostronie. Pogrzeb odbył się dnia 6 bm. w Łabiszynie.

Ś. p. *Józefa z Bełta-Wolszlegierów drowa Hailant I. voto baronowa Lercheneld* dnia 3-go bm. w Bydgoszczy.

Ś. p. *Konstanty Szołdrski* w 24-tym roku życia, dnia 4 bm. w Torzeńcu.

Ś. p. *Ksiądz Franciszek Kaźmierski*, proboszcz gościeszyński, dnia 4-go bm. w Wolsztynie. Pogrzeb odbył się d. 7 b. m. w Gościeszynie.

Ś. p. *Leokadya Smorawska* d. 4 bm. w Wronczynie.

Ś. p. *Marcin Piskorski*, kupiec z Międzychodu, dnia 5 bm. w Poznaniu, przeżywszy lat 29.

Ś. p. *Teofil Litkowski* dnia 5-go bm. w Poznaniu, przeżywszy 71 lat.

Ś. p. *Ks. Jan Potrykowski*, proboszcz w Śmiglu, dnia 8-go bm.

Ś. p. *Emilia z Smarzów Liszkowska* dnia 9-go bm. w Poznaniu w 65 r. życia.

Od Redakcyi.

Panu Hoffmanowi, sekretarzowi zebrania delegatów Towarzystw organistowskich. — Dla braku miejsca zamieszczamy tylko małą notatkę.

Panu M. J. w S. pod Strzelnem. — W tej sprawie poinformuje Pana Biuro Reclame w Poznaniu na Piekarach (Bäckerstrasse).

Panu Czesławowi N. w Wągrówcu. — Na to zapytanie da Panu najlepszą odpowiedź Redakcya „Przewodnika Katolickiego“ w Poznaniu, św. Marcin.

Panu Franciszkowi K. w Z. — Adres jest następujący: „An die Direktion der Elektrischen Strassenbahn in Posen“.

Pani H. S. w Chełmży — W każdej aptece lekarstwo takie Pani zrobią.

Panu Fr. Kub. w Kiloni. — Za wiersz dziękujemy, ale odebraliśmy go już po jubileuszu. W każdym razie postaramy się go zużyć przy nadarzonej sposobności.

Panu Antoniemu K. w Pleszewie. — O jaką szkołę fachową Panu chodzi?

Michaeli. — Nadesłany wiersz p t. „Wróg szczęścia“ nie nadaje się do „Pracy“.

Gorliwej Czytelniczce „Pracy“ w Poznaniu. — Nadesłanych nam notatek bez podpisu nie zamieszczamy.

“Jednemu z Czytelników“ w odpowiedzi na pocztówkę adresowaną do naszego wydawcy. Karta poszła do kosza — z pogardą, na jaką zasługuje każdy anonim. Więcej chłopskiego rozsądku, więcej oświaty a przedewszystkiem — odwagi cywilnej!

Pani St. M. w Proch. — Niestety nie możemy zużytkować dla braku miejsca.

HUMORYSTYKA.

— Wyobraź sobie, ktoś się zakradł do mojej pracowni, kiedy miałem właśnie skończyć mój rodzajowy obrazek.

— I ukradziono go?

— Nie! tylko modele: szynkę i parę kiełbas.



Selim Mirza.

Napisał *Henryk Sienkiewicz.*

7)



(Ciąg dalszy.)

Wówczas to poszło na kolby, na bagnety, wreszcie na pazury, zęby i pięści. Do innych chat dostali się nasi żołnierze prawie jednocześnie, tak, że strzały wszędzie umilkły, ustąpiwszy miejsca walce ręcznej. W naszej chacie wkrótce zwykła bojowa zawziętość zmieniła się we wściekłość.

Słychać tylko było trzask łamiących się karabinów, zgrzyt bagnetów, chrapanie i zziajany oddech walczących, którzy tarzali się po ziemi, wodzili się za włosy i gryźli się zębami. Jakiś wysoki chłop uchwycił Marxa za gardło i upadł z nim razem na podłogę, ale Marx, silny jak buhaj, w jednej sekundzie był już na wierzchu, ukląkł mu na piersiach i począł tłuc strasznie jego głową o ceglaną podłogę. Inny jednak prusak natychmiast siadł mu na kark. Chciałem wówczas pospieszyć Marxowi na ratunek, ale w tej chwili otrzymałem uderzenie kolbą w piersi i padłem jak długi na ziemię, tuż obok komina, na którym paliło się ognisko.

Jak długo leżałem, nie wiem. Gdym przyszedł do siebie, nie mogłem się z początku poruszyć. W chacie było cicho. Ognisko dogasało. Z wielkiem wysileniem odwróciłem się twarzą do ziemi i uniosłem się trochę na ręku. Pierwszą rzeczą, którą spostrzegłem przy błękitnym płomieniu gasnących węgli, był trup Simona z otwartemi ustami i wyszczerzonemi zębami.

Zemdlałem na nowo.

Drugie jednak moje przebudzenie było słodsze. Leżałem na tapczanie, nie na ziemi. Wzrok mój padł naprzód na sympatyczną twarz Mirzy, schyloną nademną troskliwie.

— To ty? — spytałem.

— To ja — odparł wesoło. — Narobiłeś mi strachu, ale ci nic nie jest.

Istotnie, czułem się zdrów zupełnie.

Uderzenie, które otrzymałem w piersi, przerwało mi na razie oddech, ale nie uczyniło innej szkody. Oddychałem teraz swobodnie i bez bólu.

Nie chciało mi się jednak wstawać z tapczana, powiodłem tylko naokoło oczyma. Była to taż sama chata, w której biliśmy się wczoraj, czy onegdaj. Ślady walki wszędzie były widoczne: okna powybijane, piec nawpół rozwalony, na ścianach piętna krwi, na podłodze gruzy odpadłego tynku, ale ani jednego trupa. Przez dziury w oknach świeciło słońce i wpadał wiatr, wywiewając dym z komina, na którym paliło się znowu. Zapach spalenizny napełniał powietrze.

— Jak długo spałem? — spytałem Mirzy.

— Dobę, jak kamień.

— A ty nie byłeś ranny?

— Trochę podrapany.

To mówiąc, zawinął rękaw od koszuli i wyciągnął swoją białą, marmurową rękę, na której widniała długa czerwona rysa i błękitne ślady ukąszenia zębami.

— Ci niemcy — rzekł — nie dają się przecież zabijać jak owce.

— Wszakże pobiliśmy ich?

— Trochę. Mało który wyszedł.

— Wyście nadeszli nam na pomoc?

— Tak.

— Gdzie Marx? — spytałem po chwili milczenia.

— Na patrolu. Marx jest już kapralem.

— Simon, zdaje mi się, poległ?

— Już pochowany.

— Kto na jego miejscu?

— Ja.

Wówczas siadłem na tapczanie.

— Wytłómacz mi, co to wszystko znaczy.

Mirza począł się śmiać.

— Oficerowie trochę się krzywią — rzekł — ale mój przyjaciel, Rochenoire, ani chciał słyszeć, żeby kto inny zastąpił Simona.

— Nie rozumiem nic.

— Jednak to proste. Mówią o zawieszeniu broni. Pewno to nieprawda, ale mówią. Otóż, jeśli zawieszenie przyjdzie do skutku, La Rochenoire, zadarłszy z rządem, znajdzie się w smutnem położeniu.

— Dlaczegóż więc ciebie proteguje?

— Dlatego, abym ja w danej chwili protegował go nawzajem. Jako bogaty cudzoziemiec miałem w Paryżu wszystkie drzwi otwarte i znałem wielu ludzi, stojących dziś na czele. Co więcej, lubili mnie wszyscy. Byłem *„persona grata,“* więc słowo moje może dziś coś znaczyć. Moja obecność i wysokie stanowisko w obozie godzi niejako La Rochenoira z temi ludźmi, uprawnia go. Ach, gdyby nie to, jużby prawdopodobnie jeden z nas nie żył. Gdym przybył do obozu, wpatrywał się we mnie swemi siwemi oczyma, jakby wilk wpatrywał się w kozę, któraby go przyszła prosić o nocleg w jego jamie. Ale ja rzekłem, że przychodzę poprostu bić się, a że on najlepiej się bije, więc do niego; wietrzył coś i śmiał się ze mnie, jak z głupca. Już zwrócił się do Simona, by mu wydać na moją skórę rozkazy, ale widocznie pomyślał w tej chwili, że rozstrzelać mnie, to znaczy osobiście zadrzeć z dyktatorem i innemi rządowemi figurami. Przyszło mu zapewne na myśl, że w pierwszej bitwie pozbędzie się mnie gładziej. A ja, widząc jego uśmiech, rzekłem: „śmieszy może pana to, że przychodzę wówczas, kiedy zaczynają mówić o zawieszeniu broni?“ To zawieszenie broni było pierwszą kozerą, jaką położyłem na stół. Sposępniał i począł wypytywać mnie, co wiem o tem. Odrzekłem, że gdybym był widział dyktatora, mógłbym coś pewniejszego powiedzieć, bo dyktator zawsze zaszczycał mnie zaufaniem i przyjaźnią.

To była druga kozera. La Rochenoire, lubo nie boi się niczego, wie, że z Jednookim niema żartów. Coby mu przyszło robić podczas zawieszenia? Jednooki porachowałby się z nim wówczas z pewnością. A przytem La Rochenoire ma inne wyrachowanie: on człowiek ambitny, wierzy w restauracyę Henryka V-go i widzi swoją świetną rolę pod Henrykiem. Ma nadzieję porachować się wówczas ze wszystkiemi, a przytem, z gołego margrabiego, któremu w Paryżu na cygara nawet nie starczyło, stać się potęgą. O, tak! w czasie restauracyi ten człowiek miałby ogromną przyszłość, gdyby nie to, że w tej przyszłości ja tkwię.

— Grasz grę niebezpieczną.

— Rozumiem to, ale jestem spokojny. Słuchaj dalej. La Rochenoire wie jednak, że przed Henrykiem musi przejść okres panowania Jednookiego i wie, że nim słońce zaświeci, rosa może oczy wyjeść, a to tembardziej, że znali się także z Gambettą z klubu i nie lubili się nigdy. Potrzeba mu więc ubezpieczyć się na ten czas i sądzi, że bezpieczeństwo znalazł we mnie.

Mirza począł się śmiać.

— Gram grę niebezpieczną, ale ją wygram, bo znam wszystkie jego karty, co do jednej, a moje dla niego zakryte.

— A wiesz, jak się taka gra nazywa?

Zamiast odpowiedzieć Mirza wpadł w pasyę.

— Intryga, — zawołał — zdrada! to była jego gra! Śmierć Marilacca, upadek i śmierć jego żony, łzy Lidyi — oto owoce tej gry. A ja się będę teraz wahał i drogę do zemsty wybierał? Co robić? dokąd iść? jak działać inaczej? jeżeli wiesz, to powiedz, naucz. Czy strzelić mu w łeb, tak, żeby nie wiedział nawet za co, dla czego i z czyjej ręki ginie? Toż pierwszy lepszy żołnierz pruski może mnie w tem wyręczyć. A potem co? Sława przylgnie do imienia, że już jej i nie odczepisz. Dziękuję za taką zemstę. Zresztą, nie wdajesz się w nic, więc i nie moralizuj. Ty na mojem miejscu oddałbyś mu może Lidyę i pobłogosławił jeszcze, a potem przeglądał się w lustrze, czy ci do twarzy z poświęceniem. Ale jam z innego metalu. Te środki są dla mnie dobre, które wiodą do celu. Zresztą, mam instrukcye i muszę je wykonać. Jam żołnierz.

— Rób, jak ci się podoba, ale się strzeż. Bytność twoja tak blizko La Mare obudzi w nim podejrzenia, chyba że ślepy.

Selim sapał przez długą chwilę, ale wreszcie się pomiarkował i rzekł:

— Nie! Wszystko się składa, żeby temu psu zawiązać oczy. Po zerwaniu z Lidyą, pozawiązywałem nowe stosunki, zacząłem szaleć. Znasz moją przeklętą naturę. Kochałem się, a raczej udawałem, że się kocham z dziesięć razy. Potrzebowałem wrażeń. Otóż La Rochenoire, który o tem wie dobrze, ani przypuszcza, żebym miał jeszcze pamiętać o Lidyi.

Potem dodał prędko i jakby mimowolnie:

— Ja sam się sobie dziwię...

Roześmiałem się.

— Ale nie krzywdź mnie ani Lidyi podejrzeniami — zawołał znów gwałtownie. — Ja kocham ją, jak uczciwy człowiek.

— Myślisz się z nią żenić?

— Co? Tak, oczywiście!

— A potem wrócicie zapewne do kraju. Stary twój ojciec tam codzień, siedząc z wilczycą przy kominku, wygląda twego powrotu.

Nie odpowiedział na to Mirza nic, ale na twarz jego padł pewien odcień rzewności i jakby utęsknienia za domem i za życiem spokojnem w rodzinnem gnieździe. Znałem ten ród Mirzów, jak swój własny. Oni wszyscy burzyli się za młodu, ale wykipiawszy wracali do gniazda. Taki był dziad, taki ojciec, taki i on zapewne. Pomyślałem, że dotrzyma słowa Lidyi, że pojmie ją za żonę, a potem wróci.

Dalszą rozmowę przerwało nam wejście znanego mi już oficera Touvenira.

— Rozkaz od dowódzcy! — rzekł.

Mirza rzucił okiem na podany papier i rzekł:

— Dobrze.

W godzinę później pomaszerowaliśmy do La Rochenoira.

V.

W nocy nastąpiło połączenie się oddziałów; nazajutrz zaś w południe biliśmy się znowu, a raczej napadliśmy na konwój, prowadzący rannych, i wytępiliśmy go do szczętu. Wówczas to zaczęło się to życie nadludzkich prawie trudów i wysileń, niepodobnych do wiary marszów, głodu, bezsennych nocy, ustawianych pościgów, zasadzek i wzajemnego wytępiania się bez przestanku. Cierpliwość prusaków wyczerpana była do dna. Nie mogli przecież, pobiwszy wielkie armie, pozwolić, aby jeden oddział, złożony z pięciuset ludzi, wyprawiał krwawe rzezie tuż pod ich obozami.

Dowódzcy ruchomych kolumn pruskich położyli sobie za punkt honoru wytępić tych przeklętych franctirenrów, których nie uważali zresztą nawet za żołnierzy. Nigdy nie było większą prawdą, niż wówczas, to, co mawiali nasi żołnierze: „mieszkamy za kołnierzem u prusaków.“ Żelazne koło zamykało się codzień koło nas i codzień napróżno. Ludzie nasi dziczeli w ciągłych walkach coraz bardziej i, mimo strasznej karności dopuszczali się nieraz okrutnych nadużyć nietylko nad jeńcami, ale nawet nad francuzkimi wieśniakami.

Dowódzcom ruchomym kolumn pruskich zdawało się nieraz, że to oni nas ścigają, a tymczasem my, uchodząc niby i wymykając się, nie przestawaliśmy ani na chwilę na nich czatować. Lada nieostrożność z ich strony, przynosiła im nową klęskę. Nigdy też świetny talent wojskowy La Rochenoira nie błyszczał tak potężnie, jak w owych trudnych czasach. Zuchwalstwo jego przechodziło wszelkie granice, ale też i szczęście sprzyjało mu stale. Czasem, rzekłbyś, pozwalał się dobrowolnie otaczać, a potem uderzał nagle jak obuchem. Raz zdarzyło się, że oddział, liczący blizko ośmiuset ludzi, szedł naprzód co sił, w mniemaniu, że idzie w nasze ślady, a to my tymczasem szliśmy po jego tropie i, napadłszy nań wreszcie na błotach wśród nocy, wybiliśmy mu trzecią część ludzi. Innym razem La Rochenoire umiał tak urządzić, że dwa oddziały pruskie przez kilka godzin strzelały w ciemnościach do siebie, sądząc, że strzelają do nas. Zimna krew jego dorównywała talentowi. Nieraz w czasie bitwy, wśród nocy, przy blasku wystrzałów, widywałem tego małego człowieka z cygarem w ustach, bez żadnej broni, stojącego wśród kul i spoglądającego jakby flegmatycznie swemi siwemi oczyma na przebieg walki.

Nie szczędził ludzi, był bez miłosierdzia dla żołnierzy, bywał często do wysokiego stopnia okrutny, tak dla nich, jak i dla wieśniaków, ale też nie szczędził i siebie. Przypatrując mu się ciągle, wyrobiłem sobie pojęcie o jego charakterze. Człowiek ten najgwałtowniejszych wrodzonych namiętności wychował się u Jezuitów, odebrał już podobno nawet pierwsze święcenia. Wychowanie to nadało tak całej jego postaci, jak wreszcie i namiętnościom, pewne spokojne, układne i zastygłe formy, przez które jednak namiętności objawiały się tem straszniej. Żyjąc w Paryżu, stracił naprzód wiarę, a następnie nauczył się pogardzać ludźmi. Był biedny, więc do pogardy tej przyłączyła się wkrótce i nienawiść. To uczyniło go arystokratą nie tyle w zasadzie, ile w obyczajach i obejściu się z innymi. Wysoki tytuł margrabiego, który przy biedzie był raczej pośmiewiskiem, popchnął go jeszcze dalej na drogę arystokracyi. Wszystkiemi siłami pragnął Henryka V, bo wiedział, że pod jego rządami tacy ludzie, jak on, będą wszystkiem i będą mogli deptać po drugich, co, jak dla niego, byłoby jedną z największych rozkoszy. Mimo jednak swych legitymistycznych skłonności był sceptykiem nietylko w rzeczach religijnych, ale i w życiu. Francyi nietylko nie kochał, ale czuł dla niej pogardę. Wiódł wojnę dla wojny. W przegniłej atmosferze paryzkiej stracił poczucie zła i dobra. Dla niego było to wszystko jedno. Przy gwałtownych wrodzonych namiętnościach czyniło to z niego jedno z najniebezpieczniejszych w świecie indywiduów, tembardziej, że z natury był człowiekiem czynu, nie refleksyi.

Z takim to człowiekiem zwarł się na śmierć i życie Mirza. Byłem prawie pewnym z początku, że w tej walce padnie, ale przekonywałem się coraz dotykalniej, że i Mirza był to ptak również niebezpieczny. Napozór jednak panowała aż dotąd między nimi najlepsza zgoda. Bili się z prusakami dotychczas z powodzeniem, i trzeba wyznać, że do tego powodzenia przyczyniał się także niemało Mirza, który pod każdym względem przewyższał Simona.

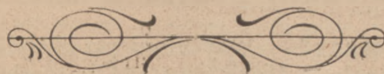
Nakoniec jednak, po miesiącu owej gry w ślepą babkę po lasach z Niemcami, położenie nasze stało się rozpaczliwem. Ruchome kolumny otaczały nas ze wszystkich stron, wymykać się z oddziałem, liczącym pięciuset ludzi, było dłużej nie podobna, również jak znaleźć dla niego dość żywności, wskutek tego na radzie wojennej postanowiono się rozdzielić. Jedną połowę miał prowadzić Mirza, drugą La Rochenoire. Obaj spodziewali się wymknąć w ten sposób z departamentu Wyższej Saony, a przyteem i wyżywić się łatwiej. Postanowili jednak trzymać się nie dalej od siebie nad dzień drogi, aby w razie wypadku mógł jeden drugiemu podać rękę.

Od tej pory Mirza począł działać prawie na własny rachunek. Wyznaję, że ciekawy byłem, jak sobie będzie radził, bo położenie było trudne. Ale ufałem mu, jako też przeszedł wszelkie moje oczekiwania.
Pierwszego zaraz dnia po rozłączeniu stoczył świetną potyczkę z ułanami, której zresztą mało co życiem nie przypłacił; potem wykręcał się z taką zręcznością, że zdawało mi się czasem, iż przewyższa La Rochenoira. Czasem myślałem nawet, że to jest jaka wschodząca niepoślednia gwiazda militarna, a wiem, że i on sam był tego pewien. Żołnierze pokochali go wkrótce i szli na oślep za nim w ogień. Mirza jednak był dla nich prawie surowym, jak La Rochenoire, ale daleko więcej dbałym. Kiedy jednak żołnierz przeskrobał coś, a Selim, patrząc na niego, pobladł, żołnierz wiedział, że z nim źle. Nazywali go szerogowcy panną ze względu na jego niepospolitą urodę. Otóż raz słyszałem, jak na biwaku mówił jeden żołnierz do drugiego.

— Gdy panna zblednie, śmierć w oczy zajrzy.

— To i cóż! — odpowiedział drugi. — Panna umie być i dyabłem i matką, a La Roche jest tylko dyabłem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)





MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

54) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

Wróżką tą była Fanchon.

Nieznana dotąd publiczności, pozyskała sobie Fanchon teraz od razu jej względy; krytyka wyrażała się o niej z wielkiem uznaniem, a złota młodzież nie mogła pojąć, że dotąd nie zauważano jej pomiędzy innemi baletniczkami. Przecież to była niezwykle piękna dziewczyna!

Kto była Fanchon Greffin?

I wnet dowiedzieli się jej wielbiciele, że ona piękna Fanchon była córką biednego sekretarza policyi, że pobierała bardzo małą pensyą, że szyła sobie sama suknie, i że była zaręczoną z jakimś młodym inżynierem.

Widzieć baletniczkę młodą, piękną i — cnotliwą — wszakże to samo już zachęcało ludzi do chodzenia na Błękitną Grotę!

Fanchon nie wiedziała wcale o tem, z jakiem zajęciem czekała publiczność na jej występ w trzecim akcie.



W wielkiej operze paryzkiej.

Przed rozpoczęciem aktu stała w najciemniejszym kącie na górze, sama, smutna i przygnębiona. Wspomnienie wczorajszej rozmowy z rodzicami Ryszarda dręczyło ją niewypowiedzianie.

Dziś po raz pierwszy przyszedł Ryszard za kulisy, aby zobaczyć i pocieszyć narzeczoną.

Fanchon domyśliła się, że zaszło coś nadzwyczajnego, i więcej jeszcze zaniepokojona, wybiegła mu naprzeciwko.

Ale Ryszard przyszedł jej tylko oznajmić, że przygotował wszystko do tajemnego ślubu, i że jutro w kościele Notre Dame połączy ich kapłan na wieki. Jeden z przyjaciół Ryszarda był tam wikaryuszem i przyrzekł dać im ślub.

— Jutro więc będziesz moją, najdroższa, — mówił, całując jej ręce, — i żadna siła ludzka nie wydrze mi ciebie! Po przedstawieniu odprowadzę cię do domu, jutro rano zaś przyjdę po ciebie i potem już nie rozłączymy się nigdy!

Fanchon smutnie spuściła głowę.

— Będzie wszystko tak, jak chcesz, — szepnęła, — ale nie pożałujesz ty nigdy tego małżeństwa? Wyrzekasz się dla mnie stanowiska i milionów...

Nie mów tego, Fanchon, wiesz dobrze, że bez ciebie nie ma dla mnie szczęścia na świecie!

Ani Fanchon ani Ryszard nie widzieli, jak w tejże chwili przesunął się pomiędzy kulisami młody, niewysoki chłopiec i zniknął na schodach, wiodących na górę. Oczy tego chłopca błyskały tak dziko, a usta wykrzywiał uśmiech tak okrutny, że widząc to, nie byłby Ryszard tak spokojnie żegnał teraz narzeczonej.

— Muszę już iść, — rzekła Fanchon ze łzami w oczach, — drugi akt kończy się. Bądź zdrów Ryszardzie! Zanim kurtyna spadnie, muszę już wisieć na drucie — potem zwolna spuszczają mnie na dół. Zostań tu! Tak mi dziś ciężko na sercu jak gdyby mnie nieszczęście jakie miało spotkać. Będę spokojniejszą wiedząc, że ty jesteś przy mnie!

— Zostanę, najdroższa! Ale powiedz mi, w jaki sposób zawieszają cię na drucie?

— Ach, to jest specyalna do tego maszyna, bardzo skomplikowana, pozwalając mi, pomimo, że wiszę w powietrzu, poruszać się swobodnie na wszystkie strony. Nie widziałeś tego jeszcze nigdy?

— Nie, ale zaczynam się teraz także lękać, czy nie grozi ci przytem jakie niebezpieczeństwo! Bo gdyby ten drut nie był dosyć mocny, gdyby się zerwał...

— To niemożliwe! — zawołała Fanchon swobodnie, — bo może unieść dziesięć razy większy ciężar, a maszynista lubi mnie bardzo i uważa pilnie na każdy mój ruch! Pod tym względem możesz być zupełnie spokojny!

— Występujesz dziś tu po raz ostatni, od jutra nie pozwolę ci już tańczyć w balecie. Wszakże zrzekniesz się dla mnie oklasków publiczności i tych świetnych strojów?

— Ach i jak chętnie!

W tej chwili zawołał reżyser, że już czas do przygotowania się i Fanchon szybko pobiegła na górę.

Na schodach przyjął ją maszynista, młody jeszcze człowiek, i podał jej rękę, aby poprowadzić wygodniej do aparatu. Nie było tu bowiem zwykłej posadzki z desek, tylko żerdzie ułożone w niewielkiej od siebie odległości. Maszynista mógł tym sposobem obserwować ciągle scenę i zastósować do tego swój aparat.

— Ostrożnie, panno Fanchon, — rzekł uprzejmie, — uważaj, abyś nie stąpnęła pomiędzy te przeklęte żerdzie. Gdy pomyślę, że mogłoby cię tu spotkać jakie nieszczęście..... ale nie! Wolę o tem nie myśleć wcale!

Fanchon uścisnęła spracowaną jego rękę.

— Dziękuję ci, panie Dyonizy, za twoją serdeczną życzliwość, — rzekła. — Czy pan kierujesz dziś aparatem?

— Tak, ja, prosiłem o tę łaskę umyślnie, bo zanadto się o ciebie niepokoję! Gdy ja sam trzymam druty i kieruję niemi, to wiem, że nic ci się złego nie stanie, i nie drżę ze strachu, widząc cię wiszącą w takiej wysokości!

Mówiąc to, zarumienił się Dyonizy, a oczy jego błysnęły wyrazem gorącej miłości.

Fanchon odwróciła się zmieszana.

— Już czas, — rzekła po chwili, — przymocuj mnie pan do drutu!

Kurtyna została spuszczoną i Dyonizy zaczął przygotowywać aparat.

— Mamy jeszcze pięć minut czasu, — rzekł drżącym głosem, i chciałbym pani coś powiedzieć — zapytać się.....

Fanchon zadrżała. Wiedziała ona, o co Dyonizy zamierzał ją pytać, i przykro jej było, że odpowiedź, jaką mu dać może, zasmuci poczciwego chłopca.

— Ale to już późno, — trzeba nam się spieszyć.

— Nie, nie! Panno Fanchon, — zaczął Dyonizy poważnie, — w tej chwili rozstrzygnie się szczęście całego mego życia! Nie potrzebuję ci pewnie powiedzieć, o co

chcę pytać — ty wiesz od dawna, że kocham cię nad życie i że pragnę gorąco, abyś została moją żoną! Jestem tylko maszynistą, ale zarabiam dużo i mam po rodzicach trochę majątku, mogę ci więc ofiarować dosyć wygodne życie.....

— Przestań pan! — zawołała Fanchon wzruszona, — ja nie mogę przyjąć twej ręki!

— Czemu? Czy kochasz innego?

— Tak! I jutro odbędzie się mój ślub!

Dyonizy cofnął się i ukrył twarz w rękach.

— Nie gniewaj się pan na mnie, — prosiła Fanchon. — Gdybym cię była prędzej poznała..... Kocham cię jak brata, szanuję i cenię jak rzadko kogo, ale powiedz pan sam, czy można zmusić serce do miłości?

— Niestety, nie! — odrzekł z rozpaczą. — Szczęścia jednak nie ma już dla mnie na świecie!

— Ach, nie mów pan tego! Zapomnisz o mnie, pokochasz inną i wszystko będzie dobrze! Proszę cię też, zachowaj mi tę przyjaźń, jaką mi dotychczas zawsze okazywałeś, bądź moim przyjacielem! Chcesz?

Dyonizy wziął rękę baletniczki i milcząc, przycisnął ją do ust.

W tejże chwili wysunęła się mała, szczupła postać z za góry kulis i stanęła przy aparacie.

Był to Luigi Luccheni.

Młody ten łotr patrzał z szyderczym uśmiechem na Dyonizego i Fanchonę, której miał zadać cios śmiertelny, i wyciągnął szybko z aparatu galwanizowany drut, na którym Fanchon zawiesić się miała.

Potem wyjął z kieszeni małe obcęgi i przeciął drut na dwie trzecie grubości, tak, że najmniejszy ciężar musiał się z nim zerwać. Aby zaś nikt ucięcia tego nie zauważył, owinął drut w tem miejscu cienkim koprowym drucikiem i tym sposobem zatarł zręcznie ślady swej zbrodni.

Wszystko to stało się tak szybko i cicho, że ani Dyonizy, ani Fanchon nie zauważyli żadnego nawet szelestu. Po ukończeniu swego dzieła pobiegł Luigi na małe schódki, wiodące na galeryą i tutaj ukrył się w małem zagłębieniu. Był on tak już na wskroś zepsutym zbrodniarzem, że zamiast uciekać od miejsca swej niegodziwości, został tu umyślnie, aby się nasycić widokiem śmierci tej niewinnej dziewczyny. Krew ludzka była mu najmilszą zabawką! Było to dzikie zwierzę w postaci człowieka!

Jaka przyjemność patrzeć na spadające ciało z tej ogromnej wysokości! A jakie zamieszanie powstanie w całym teatrze, i wszystko to jego będzie dziełem! Ah, to więcej warte, niż trzysta franków!

— Będę twoim przyjacielem, — szeptał Dyonizy ze łzami w oczach, — i będę szczęśliwy twojem szczęściem! Jeżeli kochasz, i jeżeli wybrany twego serca kocha cię tak jak ja — ale nie, tak kochać nikt nie może! Z rozkoszą oddałbym życie za ciebie!

Na dole odezwał się dzwonek.

— Prędko, — zawołał reżyser przez tubę, — a zachować ostrożność przy aparacie!

Dyonizy zabrał się teraz do pracy i przywiązał Fanchon starannie do drutu. Potem otworzył małą klapę w posadzce i Fanchon zwolna spuściła się na dół.

Była ona obecnie w wysokości mniej więcej pięciu piętr — w około niej unosiły się lekkie, gazowe chmurki, a że publiczność drutu widzieć nie mogła, przeto wyglądało to tak, jak gdyby się wróżka kwiatów rzeczywiście na chmurach spuszczała na ziemię.

Był to widok zachwycający i publiczność powitała ją grzmotem oklasków.

— Bądź pani spokojną, —wołał Dyonizy z góry, — życie twoje w moich jest rękach, nic ci się złego nie zrobi!

Dziwna myśl przyszła mu teraz do głowy.

Gdyby chciał — to jedno poruszenie ręki wystarczałoby, aby Fanchon żyć przestała! Czy nie lepiej widzieć ją martwą, niż żoną innego?

Szalona zazdrość ogarnęła na chwilę jego serce, ale zaraz potem opamiętał się i zaczął sobie gorzko wyrzucać swoje samolubstwo.

— Miłość moja nie zrobi ze mnie mordercy, — myślał zawstydzony, — bo w takim razie nie byłaby miłością prawdziwą! Kto kocha, ten musi też umieć poświęcić się, chociażby kosztem własnego szczęścia!

I jeszcze mocniej przytrzymał drut.

Ale nagle zbladł jak śmierć, twarz wykrzywiła mu się strasznem przerażeniem, a oczy patrzały na dół z wyrazem obłąkania.

Co się stało? Drut nie posuwał się tak, jak on nim kierował, wisiał luźno, a tam — Boże Wielki — tam był o wiele cieńszy niż u góry! Fanchon była teraz na wysokości czterech piętr, publiczność zaczęła znowu bić brawo, i — za późno! Wszelki ratunek niemożliwy!

Dyonizy krzyknął przeraźliwie — odpowiedzią na to był krzyk kilku tysięcy osób na sali — potem uczuł młody maszynista zawrot w głowie i nieprzytomny upadł przy swoim aparacie.

ROZDZIAŁ LXXIV.

W domu czerwonej lady.

Tego samego wieczora, gdy Luigi udał się bez wiedzy swego pana do Opery, aby tam wykonać swą zbrodnią, poszedł Pedro do doktora Blakborna na ważną jakąś naradę. Czerwona lady i Mungo byli sami w domu.

Lady Sullivan siedziała z książką przy oknie, ale ponieważ ciemno już było, przeto przestała czytać i zamyśliła się głęboko.

Myślała o swej młodości, o swem zmarnowanem życiu, o smutnej przeszłości i o jeszcze smutniejszej zapewne — przyszłości! Złączona nierozerwalnemi więzami z anarchistami, była jednym z najodważniejszych i najśmielszych członków tego stowarzyszenia, ale gdyby kto był zajrzał w jej serce, byłby widział, że ona nienawidziła i pogardzała anarchistami i samą sobą!

Towarzystwo potrzebowało nieustannie pieniędzy, Nadina więc układała i wykonywała kradzieże, oszustwa, fałszerstwa i tak postępowała coraz dalej na pochyłej drodze zbrodni!

I teraz mieszkała w jaskiniach w Passy, uważana za wyrzutek społeczeństwa, mając raz na zawsze odciętą drogę do powrotu pomiędzy ludzi uczciwych!

Nie było żadnego albumu zbrodniarzy, w którym by nie było można znaleźć jej fotografii, policyanci ścigali ją jak niebezpieczne zwierzę, listy gończe rozsyłano za nią na wszystkie strony świata — nigdzie nie była pewną, że ją schwytają i na całe życie do więzienia zamkną!

Taką była egzystencya owej pięknej niegdyś Nadiny, szczęśliwej żony Greffina!

Potem myślała o swoich dzieciach, które tak lekkomyślnie opuściła!

Syn jej miał zapewnioną świetną przyszłość, o niego więc nie potrzebowała się lękać, ale córki! Ach, byłaby dała chętnie pół życia za to, gdyby była mogła iść do nich i powiedzieć im:

— Patrzcie ja jestem waszą matką!

Nieraz już zamierzała udać się potajemnie do domu Greffina, w jego nieobecności i powiedzieć córkom prawdę, ale z przerażeniem przypomniała sobie to, co ją przed pięciu laty spotkało, gdy chciała raz wykonać swój zamiar. Ujrzała wtedy Greffina w sieni, a on rzucił się na nią tak, jak gdyby ją był chciał zamordować.

— Precz ztąd, — krzyczał, wypychając ją na ulicę, — czy nie dosyć, że mnie zatrułaś życie, chcesz teraz jeszcze zniszczyć szczęście moich dzieci? Precz — inaczej zawołam policyanta i każę cię aresztować — ty — anarchistko — morderczyni!

Nadina uciekła, ale nie mogła się powstrzymać chociaż od patrzenia zdaleka na swoje dzieci.

I widziała przez okno składu biedną ułomną Rozalią i serce jej ścisnęło się bólem na widok tej nieszczęśliwej postaci, i Fanchon, promieniejącą młodością i urodą, podobną do niej, gdy jeszcze sama była piękną i młodą!

Nadina zaczęła płakać.

— Ach, gdyby się można cofnąć o lat dwadzieścia i pięć, — rzekła sobie w duszy, — jakże zupełnie innem byłoby moje życie. Ale teraz zapóźno!

W tejże chwili wniósł Mungo zapaloną lampę do pokoju.

— Nie chciałam jeszcze światła, — zawołała Nadina niechętnie.

— Mam lampę znowu wynieść? — rzekł murzyn pokornie.

— Nie. Gdzie Pedro?

— Poszedł do Paryża. On tu długo nie zostanie u nas, zobaczysz pani! On znowu chce iść w świat po pieniądze!

— Ja trzymać go niebędę, i ciebie także nie, jeżeli wolisz iść z twoim dawniejszym panem!

(Ciąg dalszy nastąpi).